MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVI. Nr. 6. WARSZAWA, 9 LUTEGO 1936 R. CENA NUMERU 80 GR.

BEZPIECZEŃSTWO ZBIOROWE

JEŚLI się chce w dwu słowach określić różnicę między polityką zagraniczną prowadzoną przez p. Lavala, a tą, jaką zapowiada rząd p. Sarraut, to można powiedzieć: bezpieczeństwo zbiorowe.

Polityka zewnętrzna Francji opiera się od końca wojny ostatniej na Lidze Narodów. Musiał tedy i realista polityczny taki, jak p. Laval, licząc się z tradycją i nastrojami społecznemi, powoływać się wciąż na swoją wierność ideologji Ligi. W praktyce wszakże robił od tej ideologji liczne odstępstwa. Widać było, że nie bardzo wierzy w potęgę instytucji genewskiej i wolałby po staremu, sposobem wypróbowanym przez tysiąclecia, oprzeć się na bezpośrednich porozumieniach z innemi państwami.

Tu tkwi tajemnica jego wytrwałego dążenia do utrzymania dobrych stosunków z Włochami i doprowadzenia do kompromisowego załatwienia zatargu zbrojnego. Tem się tłumaczą jego usiłowania, zmierzające do nawiązania bezpośredniego porozumienia z Niemcami. Dobre stosunki z Włochami są Francji potrzebne ze względu na przyszłość — Włochy są krajem, któremu najbardziej musi zależeć na tem, by Francja nie została uzależniona od Niemiec. Przewidująca polityka francuska musi być filowłoską. Bezpośrednie porozumienie z Niemcami co do zagadnień bieżących jest o wiele łatwiejsze i byłoby o wiele skuteczniejsze, niż rozmowy z niemi zbiorowe, lub też prodzone przy pośrednictwie Ligi Narodów.

Ci ludzie i te grupy, które mają dziś w swem ręku rząd we Francji, stawiają na pierwszem miejscu wierność ideologji Ligi i działanie przez Genewę, odsuwają zaś na plan dalszy sojusze. Ich stosunek do zagadnień międzynarodowych nie wynika z oceny interesów francuskich, lecz z motywów ideologicznych. Patrzą oni naprzykład na Włochy jako na siedlisko faszyzmu, a nie jako na przyszłego najpewniejszego sojusznika w razie nowej inwazji niemieckiej. Bliską im jest Anglja także ze względów ideologicznych... Interesy ideologiczne i sekciarskie, będące istotnym motywem zarówno dzisiejszej polityki Francji, jak Sowietów, są pokrywane i osłonione pięknem, oderwanem hasłem bezpieczeństwa zbiorowego.

Hasło to — zdaniem naszem — wynika z błędów w rozumowaniu i ocenie życia zbiorowego ludzkości, prowadzi wskutek tego do polityki praktycznej, która nietylko nie zapewnia nikomu bezpieczeństwa ani pokoju, lecz jest najpewniejszym środkiem wzniecenia nowych zatargów między narodami Europy i pewnem narzędziem wojny.

Owo „bezpieczeństwo zbiorowe" wiąże się nierozerwalnie z uznaniem wojny za zbrodnię i wiarą w to, że ludzkość może żyć bez wojen. Tu tkwi błąd zasadniczy i pierwotny, bo wojny były, są i będą, podobnie jak zaburzenia w przyrodzie lub choroby w organizmie ludzkim. Usiłowania, zmierzające do zapewnienia długotrwałego pokoju przez usunięcie całkowite wojen, są równie beznadziejne, jak chęć znalezienia sposobu generalnego usunięcia wybuchów wulkanów, orkanów, burz i t. p. lub też zamiar generalnego usunięcia wszystkich chorób. W stosunkach ludzkich, podobnie jak w stosunku do przyrody lub w stosunku do orga-

nizmu ludzkiego można tylko zwalczać poszczególne przyczyny zaburzeń w określonem miejscu, lub poszczególną chorobę, ulokowaną w poszczególnym organizmie ludzkim. Tu tkwi przyczyna, dlaczego w ciągu wieków historji zdołano skutecznie zapobiegać wojnom tylko wówczas, gdy posiadano siły we własnem rozporządzeniu i gdy się zdołano porozumieć z równie silnymi, a mającymi te same interesy.

Wyjaśniamy jedynie naszą myśl, zgóry rezygnujemy z przekonania wyznawców pacyfizmu i „bezpieczeństwa zbiorowego". Dla nich bowiem są to dogmaty, oparte nie na rozumowaniu, lecz na wierze w to wszystko, co głoszą swoim wiernym loże i jaczejki, co stanowi treść „religji postępu" oraz ideałów „wieku XIX".

Po wielkiej wojnie spróbowano urządzać stosunki międzynarodowe na nową modłę. Założono Ligę Narodów, która miała zorganizować narody świata na nowych zasadach. Mówiono, że odwróciła się karta historji, że rozpoczęła się we współżyciu między narodami nowa era. Mamy poza sobą piętnaście lat doświadczeń. Trudno w krótkim artykule szeregować i analizować te doświadczenia. Dla nas są one bardzo wymowne, a nauka z nich płynąca bardzo jasna. Nic się w stosunkach między państwami i narodami nie zmieniło. To, na co codziennie patrzymy, dowodzi, że Liga Narodów nie jest w stanie niczemu zapobiec, ani też nic pozytywnie zrobić. Zajęcie Mandżurji przez Japonję, samowolne skreślenie przez Niemcy wszystkich (poza terytorjalnemi) postanowień Traktatu Wersalskiego, wreszcie wyprawa afrykańska Włoch — wszystko to dowodzi zupełnej bezsilności Ligi i dla nas jest wystarczającym dowodem nonsensu, jaki tkwi u źródeł tej instytucji.

Dziecko fałszywej wiary urodziło się martwe, i nic go do życia przywrócić nie zdoła.

Jeśli zaś obserwować rozwój wydarzeń w Europie w ciągu ostatnich lat piętnastu, to się widzi, że możność zorganizowania t. zw. bezpieczeństwa zbiorowego jest całkowitem, a w dodatku niebezpiecznem, złudzeniem. Cóż jest wart bękart owego „bezpieczeństwa", słynny układ lokarneński? Czyż nie jest wysoce pouczające, że próby zorganizowania tego „bezpieczeństwa" na wschodzie Europy doprowadziły li tylko do zadrażnienia stosunków między Francją i Polską oraz do szeregu zadrażnień między państwami Europy wschodniej?

Niebezpieczeństwo zaś owego „bezpieczeństwa" tkwi w tem, że narody, które ulegną złudzeniu zapewnienia sobie całości swego terytorjum i swej niezależności przez umowy zbiorowe i gwarancje Ligi Narodów, mogą snadnie zaniechać tych wszystkich zabiegów, które są jedynie w stanie dać pożądany wynik, a mianowicie porozumień i sojuszów bezpośrednich. Naiwna wiara w hasła bez sensu i treści może zrobić narody bezbronnemi wobec przyszłych niebezpieczeństw bardzo realnych i bardzo groźnych.

Wyznawcy religji „bezpieczeństwa zbiorowego", jak wszyscy ludzie wierzący, są bardzo skłonni do upatrywania wszędzie kacerzy i heretyków. Jeśli ktoś nie podziela ich złudzeń, to aplikują mu zaraz oskarżenie, że pragnie wojny i dąży do wojny. Tymczasem zastosowanie do tego zagadnienia metody doświadczalnej i racjonalistycznej prowadzi do wniosków wręcz odwrotnych.

Tylko stare, przez wieki wypróbowane metody są skuteczne. Nie zapewnią one oczywiście pokoju wiecznego, bo jest on poza możliwością ludzką, lecz mogą zapewnić pokój długotrwały i znakomicie zmniejszyć niebezpieczeństwo wojny.

Proszę się zastanowić nad przykładem bliskim i konkretnym: Gdyby nie było Ligi Narodów, mielibyśmy ograniczoną, co do miejsca, wojnę w Afryce; nawet wystąpienie zbrojne W. Brytanji nie musiałoby pociągnąć za sobą wojny europejskiej. Tymczasem wdanie się w tę sprawę wyznawców „bezpieczeństwa zbiorowego" i ich ulubionej instytucji genewskiej doprowadziło już do tego, że Europie grozi wojna, i to wojna najcięższa, najkrwawsza i najtrudniejsza do opanowania — wojna „religijna" wyznawców masonerji, komunizmu i „postępu", przeciwko heretykom „faszystowskim".

STANISŁAW KOZICKI

RASIZM i GENOTEIZM

A PRZYSZŁOŚĆ KATOLICYZMU W POLSCE (Dokończenie)

II

ZACZNIJMY tedy od rasizmu. Zastanówmy się najpierw nad pytaniem: czy i w jakiej formie rasizm u nas się rozwinie. Już kiedyś w swojej książce o rasizmie wyraziłem przypuszczenie, że trudno będzie Polsce sąsiadującej z Niemcami uchronić się całkowicie od naśladownictwa niemieckiego rasizmu. Tak bliskie sąsiedztwo, a zwłaszcza walka polityczna jaką musimy z naporem niemieckim toczyć, będą działać w kierunku zagnieżdżenia się tego prądu u nas. Radziłem tylko, abyśmy mogli się zdobyć na wybranie lepszych stron niemieckiego rasizmu.

Ale nietylko sąsiedztwo będzie tutaj działać. W Polsce są objektywne warunki dla rozwoju ruchu społeczno-politycznego, któryby można nazwać rasizmem, względnie, że użyję tu terminu J. Giertycha, rasizmem ograniczonym. Z czterech ele-

mentów rasizmu niemieckiego nieaktualne są w Polsce, mojem zdaniem, ruch nordyczny oraz eugnika negatywna ze sterylizacją na czele. Troska natomiast o wielki przyrost naturalny oraz sprawa odżydzenia Polski są sprawą dla naszego bytu równie ważną jak dla bytu narodu niemieckiego.

Zwłaszcza zaś sprawa żydowska jest o wiele dla Polski groźniejsza aniżeli była nią dla Niemiec. Przecież Niemcy miały minimalny procent ludności żydowskiej u siebie, a jednak stan tego zagadnienia był dla ich samodzielności narodowej niesłychanie groźny. A cóż dopiero mówić o Polsce, gdzie żydzi są dla nas groźni nawet jako masa fizyczna. Przecież co dziesiąty mieszkaniec jest u nas żydem. Dopóki żydów nie wyciśnie się z Polski, dopóty właściwie nie zdobędziemy istotnej niepodległości dla naszego narodu. Gdyba żydzi opuścili Polskę, procent Polaków w naszem państwie dochodziłby do osiemdziesięciu. Jakieby to miało znaczenie, wystarczy sobie wyobrazić, że wtedy do mniejszości narodowych należałby nie co trzeci człowiek w Polsce, jak to jest dzisiaj, ale jedynie co piąty. Mniejszość ta przytem rekrutowałaby się z naszych etnicznych krewniaków ruskich i białoruskich, bardzo wtedy łatwych i podatnych na asymilację.

Nic tedy dziwnego, że polski ruch narodowy już od samego początku swego istnienia opowiedział się za odżydzeniem Polski. Konkretną pracę bojkotową przed wojną przerwały wypadki wojenne i prace około odzyskania niepodległości. Polski tedy ruch antyżydowski wyprzedził czasowo niemiecki ruch narodowo - socjalistyczny z jego antyżydowską postawą. Dziś propaganda żydowska stara się w Polaków i zagranicę wmówić, że polska postawa antyżydowska jest bezmyślnem naśladownictwem Hitlera, co jest zwyczajnem propagandowem kłamstwem. Polska postawa antyżydowska jest samorodną, rdzennie polską próbą ratowania swego narodu przed śmiercią, próbą zupełnie identyczną w swych celach politycznych z udaną próbą dwu genjalnych polityków żydowskich, jakimi byli Nehemjasz i Ezdrasz. Analogja momentów historycznych jest przytem bardzo głęboka. Charakterystyczne dla niej jest to, że Polacy też powrócili ze swojej niewoli babilońskiej, że zastali też na swojem terytorjum obcy lud. Konsekwencją analogicznego położenia politycznego jest analogiczna próba ratunku. Jest nią rasizm, w naszych warunkach ograniczony do żydów, najbardziej podobny do rasizmu żydowskiego z okresu Nehemjasza i Ezdrasza.

Polski ruch narodowy zupełnie świadomie i celowo zapatruje się na szereg haseł niemieckiego rasizmu, sprzymierzonego z hitleryzmem, bardzo krytycznie. Jedną przytem z najważniejszych przyczyn tego krytycyzmu jest nasza zdecydowana wola i dążenie, ażeby Polska nie uległa przypadkiem zarazie genoteizmu. Mogłoby się to stać wtedy, gdyby istotnie Polska zaczęła naśladować bezkrytyczne niemieckie wzory. Polski obóz narodowy, stojący na katolickiem stanowisku w swej polityce oraz będący z natury swego składu osobowego wprost ostoją i awangardą katolicyzmu w Polsce, działa tu oczywiście w zgodzie ze swą całą duchową i polityczną postawą. Jeśli tedy kwestję żydowską w Polsce rozwiąże obóz narodowy, to nie będzie u nas miejsca na genoteizm. Rasizm w takim razie odbiłby się w Polsce na religji jedynie w ten sposób, że Kościół katolicki miałby umożliwioną starą swoją rolę strzeżenia wielkiego przyrostu naturalnego. Kościół zawsze stał na straży wielkich rodzin. Tu zatem niczegoby nie musiał zmieniać, do niczego się dostosowywać z niczem nie walczyć. Oprócz tego, w razie zwycięstwa ruchu narodowego w Polsce, nasz „rasizm" odbiłby się w ten sposób, że żydzi katolicy musieliby się nazywać żydami a nie Polakami. Politycznie zaś mógłby Kościół tylko zyskać, tak jak zyskał swego czasu przy takiej samej okazji w Hiszpanji.

Gdyby jednak obóz narodowy u nas nie zwyciężył i kwestji żydowskiej nie rozwiązał, to w Polsce rozwinie się genoteizm i to w formie religji analogicznej do niemieckiego neopogaństwa. O możliwości tej piszę w formie warunkowej, dlatego, że wedle wszelkich ludzkich rachub niedojście do władzy w Polsce polskiego obozu narodowego jest wprost nie do pomyślenia. Teoretycznie oczywiście należy się liczyć i z taką możliwością. Byłaby ona tylko wtenczas realna, gdyby żydom udało się polski obóz narodowy znakomicie pomniejszyć i pokłócić go ze wszystkiemi polskiemi warstwami, ugrupowaniami i kierunkami politycznemi w Polsce. Bardzo ważne dla udania się tych żydowskich zabiegów byłoby pokłócenie naszego obozu z Kościołem katolickim t. j. hierarchją kościelną oraz siłami społecznemi, skupionemi około hierarchji.

Gdyby się żydom udało wmanewrowanie sfer katolickich do obozu prożydowskiego w Polsce, to oczywiście mogliby oni poważnie myśleć o utrzymaniu się w Polsce przeciw polskim interesom. Jeżeli taka jest sytuacja, to nie musi się być prorokiem aby wyrazić przypuszczenie, że żydzi użyją wszelkich możliwych sposobów, aby Kościół katolicki w Polsce nie znalazł się na jednej linji z obozem narodowym. Myśląc o tem, trzeba pamiętać, że dziś w okresie akcji katolickiej jest stosunkowo więcej możliwości uzyskania w Kościele pewnych wpływów przez wychrztów i kryptożydów. Wmanewrowanie sił katolickich do obozu prożydowskiego mogłoby tedy na pewen czas ochronić żydów polskich.

Ale czy na długo? Stanowczo nie. Niech się w tym względzie nie łudzą ani żydzi ani też ich polscy protektorzy. Sprawa żydowska w Polsce jest sprawą tak ważną, że musi być rozwiązana. Jeżeliby się nie udało jej rozwiązać obozowi narodowemu to rozwiąże ją kto inny. Tym kimś mogą być np. Niemcy. Oczywiście rozwiązaliby ją oni po podboju Polski przez siebie. Żydzi bowiem, tkwiąc w Polsce, będą stale ją rozstrajali a przez to uniemożliwiali jej obronę przed Niemcami.

Mogą się znaleźć także i polskie siły społeczne, które będą się starały rozwiązać sprawę żydowską w Polsce, jeżeli jej nie rozwiąże obóz narodowy. Mogłyby one wyjść, tak jak dziś sprawy stoją, z grup lewicowych, zbuntowanych przeciw żydowskiej hegemonji, panującej w tych grupach. Jest przecież taki bunt teoretycznie a nawet praktycznie możliwy. Ale w takim razie grupa taka realizowałaby program przeciwżydowski równocześnie z programem genoteistycznym. Że takie możliwości nie należą do fantazji, tego dowodzą rozmaite przemiany w grupach młodzieży, małe dotychczas posiadających znaczenie. Wystarczy tu wspomnieć niektóre grupy Legjonu Młodych, nastrojone przeciwżydowsko oraz ewolucję niektórych kół tak zwanej młodzieży demokratycznej, idącą w kie-

runku antysemityzmu. Oprócz tego pamiętać należy o tem, że sympatje do pewnej reakcji poganizmu w Polsce mnożą się dość systematycznie. Poza jakimś zakonspirowanym ośrodkiem naokoło harcerskiego „Światowida", o którym pisałem w swoim „Ra izmie", mamy obecnie do zanowania ośrodek zgrupowany koło efemetrycznego czasopisma „Demiurg", ośrodek działający pośród młodzieży ludowej grupy „Wici" oraz działalność neopogańską woinomyślicieli. Wszystkie te grupki mają jeszcze bardzo mętne cele i programy, działają jeszcze bardzo ostrożnie, ale gromadzą się już materjały do jakiejś akcji na większą skalę. Jest wysoce prawdopodobne, że z tego chaosu wyłoni się coś podobnego do niemieckiej koalicji rasistowsko-hitlerowskiej. Stačby się to mogło tem snadniej, jeśliby przy walkach i podziałach polskiej masonerji wyłamał się jakiś „antyżydowski" odłam masoński, któryby posłużył omawianym grupkom jako kit organizacyjny. O odłam taki będzie obecnie u nas dość łatwo ze względu na kontakty naszej masonerji z masonerją staro-pruską. Oczywiście, że tak skombinowany obóz „antyżydowski" sprawy żydowskiej u nas nie mógłby rozwiązać. Naśladowałby on tylko nieudolnie niemiecką formację antyżydowską, a całą siłę swego wpływu zużytkowałby na dezorganizację religijną polskiego katolickiego społeczeństwa. Obóz taki mógłby te wszystkie siły emocjonalne, które wyzwala rasizm, zużytkować na budowanie jakiejś „prasławiańskiej" religji. Wyszłyby wtedy na tapet takie tematy jak w Niemczech, to jest żydowskie pochodzenie Starego Testamentu, żydowski początek chrześcijaństwa, udawana walka z żydowskiemi wpływami kulturalnemi w religji, aby je tem łatwiej zataić w polskiej kulturze i w polskiem życiu gospodarczem. Nie ulega także wątpliwości, że taki nowy obóz „antyżydowski" pociągnąłby część młodzieży naszego ruchu, zwłaszcza powierzchowną, niecierpliwą a zapalną, specjalnie zaś w okresie zwątpień i negacji.

Im bardziej zaś rozwiązanie sprawy żydowskiej przewlekałoby się, tem bardziej przechodziłoby ono w sferę religji, tworząc w danym momencie całkiem nie dające się przewidzieć ideje zastępcze. Mielibyśmy w najlepszym razie jakiś nowy towianizm, ale moglibyśmy zejść do bezdroży religijnych, jakie charakteryzują obecnie Niemców, ogarniętych prądem „niemieckiej wiary".

Nie ulega tedy wątpliwości, że gdyby żydom udało się w jakiś sposób zahamować dzisiejszy antyżydowski ruch polski, to przeobraziłby się on z prądu polityczno-kulturalnego w prąd religijny, godzący bardzo silnie w interesy Kościoła katolickiego w Polsce. Nie ukrywamy przytem, że mogłoby się to stać tylko przy pomocy likwidacji obecnego polskiego ruchu narodowego. Żydzi i wysługująca się im masonerja zdołaliby wtedy za jednym zamachem załatwić dwa swoje interesy t. j. zlikwidować polski obóz narodowy i powalić polski katolicyzm. Wyszłoby to na dobre tylko żydom, którym tego rodzaju układ stosunków zapewniłby możność opanowania Polski.

Warto sobie z tych wszystkich możliwości zdawać sprawę, tak w kierowniczych kołach narodowych, jak i katolickich. Dobra bowiem orjentacja jest podłożem dobrej polityki, zwłaszcza w czasach przełomów i ostatecznych rozgrywek.

KAROL STOJANOWSKI

P. S. Już po napisaniu powyższego artykułu doszły do mojej wiadomości dwa bardzo charakterystyczne wypadki, które nietylko w zadziwiający sposób ilustrują moje teoretyczne rozumowania ogólne, ale w kapitalny sposób ukazują kierunki rozwojowe omawianego zagadnienia w Polsce. Oto dnia 15.I.1936 pojawiła się w numerze 22 „Kurjera Poznańskiego" korespondencja telegraficzna, dotycząca demonstracyj antyżydowskich pod Adrychowem. Korespondent donosi, że po zwolnieniu aresztowanego członka Stronnictwa Narodowego „zebrani udali się do kościoła parafjalnego i tam, po odśpiewaniu kilku pieśni religijnych i patrjotycznych, złożyli ślubowanie, że nie przekroczą progu żydowskiego sklepu i będą walczyć o zwycięstwo w sprawie narodowej, poczem rozeszli się do domów". Tego samego dnia t. j. 15 stycznia b. r. treść mojego artykułu referowałem w Poznaniu na wieczorze odczytowym. Po odczycie jeden z młodych członków redakcji „Orędownika" na okrąg łódzki powiadomił mnie o akcji „polskich narodowych socjalistów", działających na Śląsku. Wedle jego informacyj grupa ta głosi, że walka z żydami jest jakby pewnego rodzaju religją. Oprócz tego „polscy narodowi socjaliści" głoszą hasła jakiejś mglistej polskiej narodowej religji. Ponieważ mój informator obiecał mi odnośne materjały udostępnić, przeto może o tej sprawie napiszę kiedyś szczegółowo. Oba wyżej przytoczone fakty wskazują na to, że wszyscy walczący z żydami starają się swej postawie nadać jakby pewnego rodzaju sankcje religijne. Tylko że narodowcy składają swe ślubowanie w kościele katolickim, a „narodowi socjaliści" chcą stworzyć polski kościół narodowy. K. S.

UWAGI DO „WIEJSKICH PROBLEMÓW"

Dyskusja na temat „Wiejskich problemów" zatacza coraz szersze kręgi. Redakcja „Myśli Narodowej", przywiązując największą wagę do możliwie najbardziej różnostronnego oświetlenia tych doniosłych kwestyj, oddaje skolei głos wybitnemu działaczowi na tym terenie, dr. Józefowi Staryszakowi. (Red.)

Śledząc z zainteresowaniem rozwijającą się dyskusję w sprawie „wiejskich problemów", zaskoczony zostałem nagłem jej zamknięciem przez autora artykułem p. t. „Istota zagadnienia". Uważam, że w dyskusji nie uchwycono „istoty zagadnienia", t. j. „pańskiej krwi", która przecież jest osią „wiejskich problemów". Pragnę dorzucić do tej materji słów kilkoro, patrząc na rzecz ni z dworu, ni z chaty, lecz ze stanowiska prawdy dziejowej i współczesnej rzeczywistości.

Autor sprowadza zagadnienie wsi do kierownictwa i przodownictwa „pańskiej krwi" (naród odzyska wtedy swą przez wieki kierowniczą warstwę, a wieś naturalnego przewodnika), której treścią istotną jest *Etos* (nie poto jesteśmy narodem historycznym, by świadomie redukować się do

chłopskiej masy i świeżej ludowej inteligencji, takie uciekanie w etnos zaszkodziłoby tylko naszemu etosowi, na który składały się wieki).

Ze sformułowań powyższych wynika: 1) etnos nie należy do narodu, 2) do etnosu zalicza autor świeżą ludową inteligencję, 3) etnos taki pomawia o brak etosu, *ergo* — 4) kierownictwo w narodzie i przodownictwo na wsi powierza warstwie historycznej, jako całości.

Rozważmy tezę czwartą, jako najistotniejszą w „problemach". Nie kwestjonujemy znaczenia warstwy historycznej, ale jeśli chodzi o ocenę jej etosu politycznego, to nie mając ochoty *in verba magistri iurare*, pozwalamy sobie przyjrzeć się tej warstwie poprzez dostępne nam źródła i orzec, jakie właściwości charakteru wykształciła w sobie ta warstwa w roli kierowniczej na przestrzeni dziejów i o ile te właściwości legitymują ją do tej samej roli w zmienionych warunkach politycznych doby dzisiejszej. Słowem — trzeba istotę zagadnienia ocenić z odległości wieków.

Patrząc na dzieje polityczne Polski, możemy w najogólniejszym skrócie typowych zjawisk stwierdzić, że szlachta była podmiotem dziejów, wyłącznie narodem, ba — istotnym i jedynie aktywnym elementem państwa; była to warstwa historyczna i kierownicza w najpełniejszem tego słowa znaczeniu. Jako element władczy, tworzyła demokrację nawewnątrz, kształtując swą władzę w *absolutum dominium* nazewnątrz, w stosunku do pozostałych warstw, w znaczeniu całkowitego wyłączenia ich od udziału we władztwie. Stąd państwo polskie było rzeczpospolitą szlachecką, co odpowiadało najzupełniej jego treści. Wprawdzie praktycznie polityką kierowała szczupła ilość rodów możnowładczych, ale to przecież nie odbierało tej polityce znamienia szlacheckości, szlachta bowiem *viritim* rozstrzygała ostatecznie o polityce tego lub innego rodu. Polityka ta niejednokrotnie skierowaną była ku dobru stanowemu, utożsamionemu z dobrem publicznem. O całość, o *salus reipublicae* troszczyli się politycy-patrjoci, którzy w oparciu o ofiarniejszą część braci borykali się z przeciwnościami, aż wkońcu legli wraz z nieszczęsną Rzeczpospolitą.

I po rozbiorach szlachta nie wyzbyła się owego egoizmu stanowego, najlepszem świadectwem tego — uwłaszczenie włościan przez zaborców bez niej i pomimo niej, w czem też należy upatrywać jedną z przyczyn niepowodzeń ruchów powstańczych i opóźnienia procesu unarodowienia wsi.

Współcześnie — ziemiaństwo, jako całość, jest warstwą nietylko stanową, lecz i klasową, o własnej ideologji *quasi*-konserwatywnej, a tak potężny *exodus* jego odłamu z szeregów stronnictwa narodowego (1925) ze względów li-tylko klasowych, potwierdza sąd o niej, jako całości.

Jakież zatem wartości polityczne wnosi do Rzeczypospolitej Polskiej ziemiaństwo, ongiś kierownicza warstwa Rzeczypospolitej szlacheckiej? Mocne poczucie dziedzicznego prawa do wyłącznego, niepodzielnego władztwa, silnego ducha *absolutum dominium*, ekskluzywność społeczną, podniesioną do godności zasady. Uroszczenie do władztwa, jak na dziś, istotnie „niebezpieczne, szkodliwe i nieziszczalne", mogłoby znaleźć swój wyraz tylko w formie przywileju, ale trudno sobie przecież wyobrazić ze stanowiska prawno-publicznego taki ustrój państwa, w którym ziemiaństwo miałoby zastrzeżone sprawowanie władzy; nie pozwala już na taką arystokrację ani duch czasu, ani też układ sił społecznych w narodzie. Takie uroszczenie nie da się też uzasadnić tradycją polityczną, w znaczeniu sztuki rządzenia, ani kulturą polityczną, bo to czysty werbalizm. Tradycja polityczna — taka, czy owaka, dawno już się urwała i doszczętnie wygasła, zresztą na nią mogliby powołać się tylko magnaci (oczywiście z tym samym skutkiem), bo oni właśnie tę politykę praktycznie uprawiali; co zaś tyczy się kultury politycznej, to ta była dość niską, skoro stała na poziomie rębajłów-mopanków, wobec czego nie może ona służyć za wzór dla współczesnego życia politycznego. Wogóle, krótko mówiąc, często etos polityczny tej warstwy streszczał się w „prawem i lewem", a taka norma działania, nawet zgodnie ze stanem ówczesnych pojęć etycznych, nie może być zaliczoną do etosu. Zatem nic nie uzasadnia takiego uroszczenia tej warstwy historycznej, ono jest już anachronizmem. Zresztą należy otwarcie zapytać: czy warstwa historyczna, która nie zdała egzaminu dziejowego z umiejętności kierowania nawą państwową, formacja klasowa, której obce jest poczucie współczesnej hierarchji dóbr, może pretendować do roli kierowniczej w Polsce?

Wyznaczając „ziemiańskiej Sodomie" tak wysoką pozycję w narodzie, p. Frycz zarazem zawyrokował, że „chłop sam nigdy kierownictwa nie obejmie, bo wtedy przestałby być chłopem". Sądzę, że autor i tu jest w niemniejszym błędzie, przeczy bowiem temu współczesna rzeczywistość: przecież chłop Witos kilkakrotnie obejmował kierownictwo nawą państwową, nie przestając być chłopem. Jeżeli autor pod „chłopem" rozumie lud rolniczy, włościaństwo, to chłop, jako warstwa, jest również do pomyślenia w roli kierowniczej. Ogólnym poziomem kulturalnym i politycznym nie ustępuje wcale dawnej szlachcie zaściankowej, która wszakże należała w Rzeczypospolitej szlacheckiej do warstwy kierowniczej. Jak tamta, tak i ta praktycznej polityki prowadzić nie jest w stanie; w jej imieniu i na jej rzecz, jak dawniej możnowładcy, działają dziś trybuni ludowi, którym ona udziela lub odmawia swego poparcia. Jak ongiś gmin szlachecki, tak i dziś lud wieśniaczy jest tylko biernem narzędziem w rękach możnowładców ludowych, których polityka niejednokrotnie ma początek i koniec poza narodem. A że lud nasz ma ujemne cechy polityczne szlachetczyzny bodajże z epoki Kazimierza Jagiellończyka, dlatego też rzeczpospolita ludowa, jak ją pojmują trybuni, miałaby niewątpliwie tendencję rozwojową rzeczpospolitej szlacheckiej, stąd i ona nie może odpowiedzieć potrzebom narodu, jako całości. Ale nie znaczy to, że nie trzeba liczyć się z faktem, iż Polska jest krajem chłopskim, że nie można już urządzać Polski wbrew chłopu.

Problem następny — to sprawa odzyskania przez wieś „naturalnego jej przewodnika". Tym przewodnikiem naturalnym ma być również ziemiaństwo. Autor mówi o „odzyskaniu", czyli że ziemiaństwo to przewodnictwo już miało w swoich rękach. Tak nie jest. Dzieje stosunku dworu do wsi nie potwierdzają tego poglądu. Wiadomo, że szlachta wyposażyła się po wsiach w *patrimonium*, które było prywatno-prawnym stosunkiem pana do poddanego, a więc zachodził tu stosunek prawny, a nie jakiś naturalny, jak tego chce autor. W tej sytuacji prawnej, w której pan występował

w charakterze podmiotu, a chłop tylko przedmiotu, rzeczy, gdyż osoba, majątek i życie jego było w nieograniczonej dyspozycji pana *(ius vitae ac necis)*, widoczny jest jedynie pierwiastek materjalny, interes ekonomiczny pana, wyrażający się w ujemnej swej formie prawa propinacji (wyszynku), atrybutu prawa własności pana, z kategorji prawa przymusowego, przekształconego zczasem w zwyrodniały system t. zw. narzutu, t. j. przymusu kupowania przez poddanych w karczmie pana określonej ilości wódki (zob. Dąbkowski). Na taki etos ziemiański składały się całe wieki, przetrwał on do naszych czasów z tą tylko zmianą, że w miejsce narzutu wszedł wyręczający pana w tym procederze arendarz, karczmarz-żyd, z całym arsenałem środków, znieprawiających chłopa doszczętnie. Ponury ten obraz dopełnia *ius primae noctis*, instytucja, jak wspominają źródła, wprawdzie nie nadużywana, ale jakże również charakterystyczna dla „naturalnego przewodnika" wsi! Taka tradycja i taka pozycja ziemiańskiego etosu wpośród wiejskiego etnosu! W takim stosunku dziejowym nie można dopatrywać się przodownictwa w znaczeniu, jakie nadaje mu autor, chyba że tylko przez ironję.

Ale mamy do czynienia z teraźniejszością, ostatecznie ze złą tradycją można zerwać, pokolenia, wyrosłe w odrębnych warunkach, mogą wejść na nową drogę działania. Niewątpliwie tak. Chodzi jednak o to, czy może zerwać z taką tradycją, czy ona nie leży właśnie w pańskiej krwi?

Autor w uzasadnieniu tytułu ziemiaństwa do jego naturalnego przewodnictwa na wsi powołuje się na tę krew, jako kategorję wartości naturalnej, wzmacniając ją historycznemi, jak dwór i sygnet. Zdaje mi się, że autor przeoczył naturę tych wartości w odniesieniu do sytuacji, w której mają działać. Te wartości są właśnie wyrazem przeciwstawności, ruchu odśrodkowego, negacją harmonji społecznej Znanem jest poczucie w tej warstwie innej krwi (niebieskiej), krwi normandzkiej, rzekomej pra-sprawczyni państwa polskiego (teorja Piekosińskiego, obalona przez Balzera). W stosunkach prawno-politycznych stała się ona źródłem szlacheckiego *absolutum dominium*, w społecznych — pojęcia „pana", człowieka „dobrze urodzonego", z natury wyposażonego w cnoty, w przeciwstawieniu do chłopa, z natury duchowo i umysłowo ułomnego, przeznaczonego do służby i wiecznego podporządkowania (Jafet — Cham). Takie poczucie i takie pojęcie jest dotąd żywe i nic nie wskazuje, aby ziemiaństwo, jako grupa społeczna, całkowicie ich się wyzbyła.

Nieinaczej jest z kategorjami historycznemi. Dwór po dziś dzień jest nazywany przez ich właścicieli *dominium*, a więc coś, co jest przeciwstawne wsi, symbol władztwa i panowania, a nie sąsiedztwa, które uznane jest tylko w stosunkach pomiędzy dominiami; dwór nie jest ogniskiem kultury na wsi, bo ta żyje życiem własnem, odgrodzona od dworu nieomal chińskim murem. Rycerską tradycję, o której wspomina p. Kiniorska, dwór reprezentuje niewątpliwie, ale w sferze stosunków pozachłopskich, bo w stosunku do chłopa rycerskość przejawiła się nieraz tylko w tem, że pan nie korzystał w praktyce z prawa karania poddanego śmiercią, ale takie postępowanie pana wywoływane było i pobudkami natury dalekiej od rycerskości (zob. Rafacz). Co do sygnetu, to opinja w tej mierze już jest ustalona: ten przestał już, i to dawno, być znamieniem ciężkich, lecz zaszczytnych obowiązków publicznych; dziś służy tylko za zewnętrzny dowód przynależności do pańskiej krwi.

Te kategorje, naturalna (urojona) i historyczne, składają się na odrębną psychikę i swoistą mentalność ziemiaństwa, jako grupy społecznej, co sprawia, że trudno mu o wspólny język z gromadą chłopską; tem też tłumaczy się nieobecność ziemiaństwa na wsi.

Muszę jednak zaznaczyć, że niemoc jego do współdziałania ze wsią nie jest wynikiem czynników objektywnych, tkwiących w stosunkach zewnętrznych, lecz jest stanem podmiotowym, stąd wejście ziemian do wsi, udział ich w jej sprawach nietylko jest możliwy, ale przez wieś nawet pożądany; przeciwdziałać temu chcą tylko zwolennicy walki klas. Ale ziemianie we wsi, to nie, jak mniema p. Frycz, jakieś naturalne ich przewodnictwo, lecz praca i to rzetelna, bezinteresowna, która może dopiero wysunąć ich na to stanowisko. Tak właśnie, jak to pojmuje szlachetny i rozumny p. Józef Swieżyński, myślący kategorjami historycznemi i narodowemi: „musi więc ziemiaństwo nanowo zdobywać nobilitację nie mieczem, ani zbroją, ale sumienną pracą obywatelską na warsztacie własnym, z myślą o braci młodszej, musi świecić jej przykładem, służyć pracą i radą, zdobywając w ten sposób uznanie i autorytet na wsi". Musi ziemiaństwo przełamać w sobie ten stan podmiotowy, wiekami narosły, musi z Gustawa przerodzić się w Konrada, a wtedy nie będzie się kołatało pytanie: Polska narodowa z ziemiaństwem, czy bez ziemiaństwa.

Kończąc o kierownictwie i przodownictwie „naturalnem" ziemiaństwa na wsi, chciałbym wyjaśnić, że ziemiaństwo oceniam negatywnie ze stanowiska socjologicznego, jako grupę społeczną, rozpatrywaną tylko w określonym kierunku (kierownictwo i przodownictwo), pozatem jest ono sobą, jak każda typowo klasowa formacja o wadach i zaletach, i nic więcej. W tej grupie społecznej oczywiście jest więcej, niż dziesięciu sprawiedliwych, którzy wysoko wznoszą się ponad egoizm klasowy swej warstwy, ale oni należą do wyjątków i jak każdy wyjątek muszą być traktowani w oderwaniu od swego podłoża. Dla tych sprawiedliwych stać muszą otworem najwyższe godności w państwie, o ile zdołają oni własną pracą dokonać tej promocji, jednak nie będą oni przedstawicielami ziemiaństwa, lecz działać będą we własnem imieniu.

Również rzut retrospektywny na dzieje szlachty i ujemna ocena na ich tle pewnych tylko kompleksów zjawisk nie może być uważane za wogóle negatyczny stosunek do dziejów Polski, jako że szlacheckich. W myślach nowoczesnego Polaka naród to organiczna całość w pokoleniach przeszłych, teraźniejszych i przyszłych, a Polak integralną cząstką, łączącą dawne z nowemi laty. W tej kwestji nie może zatem zachodzić żadna wątpliwość.

(Dok. nast.) JÓZEF STARYSZAK

GDY ŻYDZI MÓWILI OTWARCIE

(Ciąg dalszy)

II

PRZECIW postulatom syjonistów i ich kombatantów wystąpili masowo i świetnie zgrani, a doskonale do dyskusji przygotowani, asymilatorzy. Zabierało głos z pośród nich kilkunastu. Kilka przemówień z tej grupy (dr. Krzemicki, dr. Geschwind, dr. Kretz-Mirski) stało na bardzo wysokim poziomie. Deklarowali oni swoją polskość. Z żydami łączy ich religja i wspólne pochodzenie. Niema jednak — ich zdaniem — narodu żydowskiego. Niema narodowego wspólnego języka żydowskiego. Język hebrajski skostniał na 3 wieki przed narodzeniem Chrystusa, żargon jest spaczoną niemczyzną. Wszystko, co wśród żydów jest kulturalne, mówi językiem tego narodu, wśród którego przebywa, i służyć chce temu narodowi, którego chleb je. Syjoniści — zdaniem asymilatorów — są nieszczęściem żydów, bo budzą nierealne wizje, bo szerzą separatyzmy, bo podtrzymują odrębności (np. w ubiorze i w zwyczajach), bo wpędzają ponownie ogół żydów w ghetto. Asymilatorzy zaś uważają, że żydzi są lub powinni być w Polsce Polakami mojżeszowego wyznania, we Francji Francuzami mojżeszowego wyznania i t. d. Żydzi powinni się zasymilizować tak, jak zasymilowali się kiedyś niemieccy koloniści, choć byli ewangielikami w morzu katolików, jak zasymilowali się Ormianie, Tatarzy, szlachta litewska, białoruska i t. d. Aby ten cel osiągnąć, asymilatorzy żądają zupełnego usunięcia żargonu i hebrajszczyzny ze szkół i z życia publicznego, uczenia wyłącznie po polsku, odrzucenia wszelkich pomysłów autonomicznych czy przyznania praw mniejszości narodowej. Żydzi mają być Polakami, żyjącymi w Polsce na równych prawach z ogółem ludności. Dla niezadowolonych — świat stoi otworem.

Oto parę urywków z ich przemówień:

Dr. Krzemicki-Feuerstein:

„I. a) W odniesieniu do państwa polskiego postulatem naszym jest, aby wszystkim bez różnicy wyznania i narodowości mieszkańcom Polski, posiadającym prawo przynależności w jednej z gmin, na jej terytorjum położonych, przyznanem było „*ipso facto*" prawo obywatelstwa polskiego i aby prawo opcji innego obywatelstwa dozwolone było tylko w ciągu pierwszych paru lat pod warunkiem faktycznego opuszczenia granic państwa polskiego. Przyznanie żydom autonomji narodowej uważamy za niedopuszczalne. Oświadczamy się za autonomją ściśle wyznaniową, sprzeciwiamy się natomiast autonomji oświatowej.

b) domagamy się, aby, z pominięciem drogi przymusu, uczyniono wszystko w celu pozyskania dla polskości mas żydowskich na kresach...

5) bezwzględnego stosowania przymusu szkolnego...

11) popierania emigracji żydowskiej, ułatwiania emigrantom likwidacji interesów,

12) organizacji propagandy asymilacyjnej,

13) utworzenia stałej komisji do spraw spolszczenia żydów przy Prezydjum ministrów, składającej się z Polaków wyznania rzymsko-katolickiego i z Polaków wyznania żydowskiego — i oczywiście

10) popierania równomiernego wszelkich objawów zdrowego życia gospodarczego a porzucenia haseł bojkotu ekonomicznego.

Dr. Juljusz Tenner wygłosił bodaj najciekawsze i najbardziej konsekwentne przemówienie z pośród t. zw. „żydów-Polaków":

„Żydzi, rozsiani na całym obszarze ziem polskich, ani nie są zlani narodowo z rdzenną ludnością polską, jak współwyznawcy ich we Francji i Włoszech lub Niemczech, ani też nie stanowią jednolitej, zwartej, terytorjalnie odrębnej warstwy, jak Ukraińcy lub Litwini w Polsce. Jedna z grup, wielka, jest pozbawiona wszelkiej świadomości narodowej, druga ma słabe poczucie przynależności wyznaniowej, a pełną świadomość przynależności do narodu polskiego — i tylko trzecia grupa (Syjoniści, Poale-syjoniści, Żyd. partja socjalistyczna) ma poczucie przynależności do narodu żydowskiego.

Czy podobna te grupy traktować równomiernie? Czyż podobna obywateli obcej narodowości dopuścić do wpływów na życie publiczne w tej samej mierze, jak obywateli Polaków bez różnicy wyznania? Czy można obywatelom obcej narodowości powierzyć np. wychowanie młodzieży i postawić ich na jakiekolwiek ważne i odpowiedzialne posterunki polityczne, narodowe, cywilne czy wojskowe? Wszak na takie posterunki powoływać się nie będzie także Niemców, Rosjan, Czechów lub Węgrów, zamieszkałych na ziemiach Rzeczypospolitej, chociażby byli obywatelami państwa polskiego, jak długo nie przyjmą narodowości polskiej. Słuszną więc wydaje mi się rzeczą, żeby żydów-narodowców, jako obywateli państwa polskiego, zrównano we wszystkich prawach i obowiązkach z obywatelami tegoż państwa narodowości niemieckiej, rosyjskiej i t. d., natomiast Polaków wyznania żydowskiego zrównano we wszystkich prawach i obowiązkach z Polakami innych wyznań i obrządków. Jednem słowem: nie wyznanie stanowić ma o odmiennem stanowisku obu grup żydowskich w państwie, ale jedynie i wyłącznie narodowość.

„Obywatel Państwa, Polak, ma obok podatku krwi i mienia wobec Państwa, cały szereg innych jeszcze obowiązków natury idealnej wobec Narodu, które obywatele innych narodowości spełniają na pożytek obcych narodów. Każdy Polak ma obowiązek pracą swojego życia przyczynić się wedle sił swoich do zdobycia mu odpowiedniego stanowiska w związku narodów współczesnych; każdy Polak bierze czynny współudział w życiu intelektualnem swego narodu, w pielęgnowaniu jego historji, tradycji, sztuki i literatury, we wspomnieniach jego przeszłości, w nadziejach i tęsknotach jego przyszłości, każdy odczuwa najdelikatniejsze drgnienia duszy zbiorowej narodu, jej bóle i radości, triumfy i upokorzenia. To są *imponderabilia*, które nie dadzą się ująć w paragrafy ustaw i rozporządzeń, ale którym, jak wiadomo, w rozwoju kultury narodowej bardzo znaczne, jeśli nie wręcz rozstrzygające przypada znaczenie. Czyż nie jest więc rzeczą słuszną i sprawiedliwą, ażeby tym zwiększonym obowiązkom także większe przeciwstawić prawa?"

Iluż Polaków z krwi i kości jeszcze dziś przekonywać trzeba o tem, o czem dr. Tenner mówił na ankiecie we Lwowie 2 lutego 1919 r.?

Dr. Tenner tak sformułował swoje tezy końcowe:

„1) Sprzeciwiam się bezwzględnie autonomji narodowej, takiej, jaka w danym razie udzielona będzie Ukraińcom lub Litwinom, jako mniejszościom narodowym.

2) Liczba żydów jest za duża, ażeby cała ich masa z pożytkiem dla narodu polskiego mogła być zasymilowana. Dlatego popierać należy i ułatwiać emigrację żydowską nietylko do Palestyny...

4) Sprzeciwiam się także autonomji kulturalnej i oświatowej dla żydów-narodowców. Naród polski musi być gospodarzem w swoim domu, nie może się zgodzić na uznanie odrębności narodu żydowskiego, na utrakwizm, na wydanie tak ważnej placówki interesów narodowych, jak wychowanie przyszłych pokoleń, w ręce obcego narodu".

Dr. Emil Spät, sekretarz zebrania, mówił: „Ludność żydowska w Polsce, niezasymilowana, nie przejęta kulturą polską, nie mogła nadążyć napięciem uczuć narodowych narodowi polskiego. I przed duszami ludzi szczerych, analizujących swe uczucia, zjawić się musiało pytanie: czy potrafią oni dostroić się na ten ton wzniosły, jaki dziś ogarnia naród polski? Czy np. oderwanie Chełmszczyzny wywołać zdoła w duszach ich tę skalę bólu, jaka budzi się w duszy Polaka? Ta różnica w tonie narodowej egzaltacji była pierwszym momentem, skłaniającym masę żydowską do odpowiedzi, iż nie jest ona częścią narodu polskiego, gdyż nie czuje tak, jak naród polski".

Dyr. Herman Feldstein:

„Dla tych, którzy Polskę zamieszkują na wypowiedzenie, którzy mając dwie ojczyzny, mogą się każdej chwili zdecydować wyprowadzić się z jednej do drugiej, potęga i dobrobyt ojczyzny, którą w danych warunkach są gotowi porzucić, nie przedstawia tej doniosłości co dla tych, którzy mają jedną tylko ojczyznę i jej w żadnych okolicznościach nie mają ani zamiaru, ani moralnej siły opuścić".

(Dok. nast.) STANISŁAW RYMAR

FRÉDERIC MISTRAL

WIEŻA MIŁOŚCI

I

Pan awinjoński, świątobliwy
Cudoń wzniósł wieżę w Barbentanie,
orkan i morze—fraszka dla niej,
i biesa łacno w taniec wyzwie! —
z pagórków stromych
patrzy wkoło,
śmigła, budowna,
krzyżem płonie,
urąga słońcu złotem czołem.
Bies w okna wślizgnąć się nie zdoła:
phi! toć jegomość łebsko radzi!
na szkłach biskupie godła kładzie.

2.

Pan awinjoński, świątobliwy
Cudoń klucznego wybrał sobie:
to Gąbka, Jaś, krześcijanin dobry,
nie klął się w życiu słowem krzywem.
— Jasiu, mój drogi,
patrzaj, pilnuj
i nie puść kogo,
bój się Boga!—
Aha! człek nie wie ani chwili!
Jasiową córuś giez przypilił:
Jagoda, za miłością wzdycha!
— Ot, niby nic, a będzie licho!

3

Pan awinjoński, świątobliwy
Cudoń bezpiecznie doma siędzie.
Ej, dałby łupnia, żeby wiedział,
jak tam u wieży nocką bywa!

— Taka i ona
dola czarna:
kluczy mi wzbronią
w świat wygonią.
chcesz, nie chcesz, Jasiu, w gnoju marniej,
inny papieskie grosze zgarnie!

Przymówił córce Gąbka juści,
i zamknął w wieży na dwa spusty.

4

Pan awinjoński, świątobliwy
Cudoń czar, chyba, weklął w mury,
bo kiedy północ, pianie kurów,
szept słychać młódki niecierpliwej:
— Leć, leć, ja czekam,
ty mój, jasny!
z księżycem czekam,
z wieży świecę!
Tam, chrapie kluczny: u drzwi zasnął!
tam, woła słowik: z gaju klasnął!
tu, gwiazdy: tańczą wokół dzwonu!
nie pozwól, biednej, w gwiazdach spłonąć!

5

Pan awinjoński, świątobliwy
Cudoń nie bronił pędom puszczać,
a bies w wykuszach czepiał bluszcze,
opłynął wieżę splotem żywym.
Tę wić lecącą
chwytaj, młody,
wioń do tęskniącej
z szumnym pnączem!
zakołysz kwitnącemi schody!
— Wieżo, kochankom już się poddaj!
Niechaj i skrzykną się berdyszni,
nie dba kochanek, wzlata—wyżej!

6

Pan awinjoński, świątobliwy
Cudoń wzniósł wieżę pod obłoki,
lecz gdyby wzniósł i wyższą stokroć,
nie strzyma go, boć on do miłej!
— Ah, prędzej, prędzej,
szczęście moje
kocham goręcej
pragnę więcej!
jesteś! do ciebie z gwiazd się kłonię!
miły! całuję usta twoje! —

Omam ten bluszcz mu z ręki bierze...
O, Jezu, spadł! bez ducha leży!

7

Pan awinjoński, świątobliwy
Cudoń o wszystkiem, ano, wie dziś,
i z bucznym Gąbką, jak brat, siedzi,
i chociaż biskup, łzy nie skrywa!
— Doli Jagódka
doczekała:
radości krótko,
długo smutku,
pocałowaniem serce dała
i nie kochanie, śmierć poznała!
... Gdy północ w srebrny miesiąc patrzy,
słyszysz? —
... dziewczyna w wieży płacze...

Z prowansalskiego przełożył JANUSZ KAWECKI

NA WIDOWNI

O linji podziału i etatyzmie. — Nie o kwalifikację chodzi. — Państwowa „Pewuka". — Komisja zbada zjawisko. — Wszystko jedno, jak się nazywa, aby smakowało. — Psychologja radosnej twórczości i kolczastej linji podziału.

LINJA podziału! Głośno o niej teraz. Ale gdybyż ona gdzieś na powierzchni ograniczała się kółkiem sanatorów. Sięga ona niestety w głąb, w trzewia szarego człowieka. Nie wiecie, o co chodzi? Pokażę ją na drobnym przykładzie.

Składał mi teraz relację ze swoich wędrówek w poszukiwaniu kawałka chleba wytrawny fachowiec fabryczny, Polak rasowy, kulturalny, posiadający wspaniałe świadectwa 30-letniej pracy. Od roku zredukowany z powodu kryzysu (dziś przy maszynie wystarczy byle uczeń wzywany na dniówkę), dowiaduje się, że jest wolne miejsce w pewnym zakładzie. Jest to zakład „etatyzowany", więc oczywiście tak zbiurokratyzowany, że na dotarcie do „władz" potrzeba tygodni. Podanie było już złożone, świadectwa widocznie się podobały, skoro wezwano go przed oblicze dyrektora. Na audjencję czekał w kurytarzu od 9 rano do 2 po południu, a że wyszedł z domu bez śniadania, a że rodzina czekała na wiadomość z trwogą, a że eksmisja z mieszkania była już wyznaczona, — więc łatwo sobie wyobrazić, jakie męki przechodził.

Dyrektor z uznaniem wyraził się o świadectwach, ale zażądał referencji „dodatkowej". Niechby się powołał na kogoś z osób wpływowych. „Pan wie"... Robotnik nie zna nikogo z „sanacji". Tak się złożyło. Gdyby znał, toby przecież nie czekał w sieni tyle godzin... Może do Strzelca należy? Też nie?

Dyrektor wyciągnął rękę z papierami. Bardzo mu przykro, ale nie da się nic zrobić.

Złamany szary człowiek zrozumiał, co to jest „linja podziału".

— — — — — — — — — — — —

W zeszłym tygodniu przytoczyliśmy (w „Głosach") obrazek ze świeżo wydanej książki dr. Tadeusza Bernadzikiewicza p. t. „Przerosty etatyzmu". Przerażający obrazek, ilustrujący, jak się gospodaruje bogactwem narodowem po tamtej stronie linji. W „Il. Kurjerze Codziennym" (piśmie zresztą sanacyjnem, budującem po tamtej stronie „linji" kolejkę w Tatrach) pisuje z talentem i z pewną niezależnością sądu fejletonista Z. Nowakowski. Książka Bernadzikiewicza zrobiła na nim takie wrażenie:

„Książka ta przekonała mnie, do jakiego stopnia żyjemy w ciemności, jak dalece nie zdajemy sobie sprawy z tego, co nas bezpośrednio otacza. Wprawdzie czyta się codziennie, na każdym kroku o etatyźmie, o jego wybrykach, o katastrofalnej gospodarce przedsiębiorstw państwowych, lecz te informacje, podawane po łyżeczce, nie wywołują należytego skutku. Nie budzą nas z uśpienia. Dawniejsze stosunkowo prace, jak np. prof. Heydla czy Lulka lub inż. Bobra nie są mi znane, tembardziej więc po przeczytaniu książki d-ra Bernadzikiewicza miałem wrażenie, że ktoś wyrżnął mnie obuchem w głowę. Każdy fakt, opatrzony datami, numerem, odnośnikiem do takich a takich dokumentów. Z faktów owych tworzy się atmosfera tak duszna, że na usta wyrywa się krzyk: Powietrza! Powietrza".

Linja podziału posuwa się coraz głębiej — już brak tchu. Obliczono, że państwo nasze gospodaruje już w 1900 przedsiębiorstwach. Są tam monopole (tytoń, sól, zapałki, spirytus), należące właściwie do systemu podatkowego, są takie gospodarstwa, jak lasy, koleje, jest też przemysł wojenny; reszta — to zajęcia dodatkowe biurokracji, wyręczające inicjatywę prywatną. Obrazek, przytoczony przez nas w numerze poprzednim, jak się sporządza w gospodarce leśnej bilanse, daje miarę solidności radosnej gospodarki. Więcej tam „referencyj", niż kompetencji, stwierdzonej świadectwami fachowości. Z gospodarki leśnej p. Loreta przytaczane są w prasie fakty charakterystyczne. Warsztaty kolejowe w Pruszkowie, mające na miejscu składy desek wyrobu państwowego, kupują deski ze składu na Pradze, bo tam są dwa razy tańsze. Ale jakież zdziwienie, gdy się okazuje, że te deski, sprowadzane z Pragi, pochodzą ze składu pruszkowskiego... W r. 1933 podkłady dostarczane kolejom przez firmy prywatne, były tak dobre, że kolej odrzucała z nich tylko 7%. Jednocześnie z podkładów, dostarczanych przez państwo, odrzucano 69%. Za to Białowieska puszcza, niegdyś taka dzika i gęsta, obecnie jest jak park, bo p. Loret poprzecinał ją w kratkę szerokiemi duktami na kawałki po 50 ha, żeby zrobić trochę powietrza dla myśliwych.

Boleją nad tem wszystkiem ekonomiści, ale „złą krew" w społeczeństwie robi konkurencja państwa z przemysłem i handlem prywatnym. Wystarczy pospacerować pod arkadami nowej a wspaniałej kamienicy na rogu ul. Królewskiej i Krak. Przedmieścia, gdzie lśnią od zbytku magazyny wytwórczości państwowej, aby stwierdzić, że łatwiej o wyliczenie, czego tam niema, niż tego co jest. Stwierdzić też można, jak bardzo się tam nudzą pięknie ubrani sprzedawcy, oczekujący na nabywców. Istna „Pewuka" (PWK), jak się mówiło o wystawie poznańskiej.

Złą krew robi przedewszystkiem brak wszelkich szans w konkurowaniu z przemysłem państwowym, choćby ze względu na podatki i kredyty, któremi dysponuje państwo. A po tamtej stronie linji podziału nie widać względności i wybredności w wyborze środków konkurencji. Głośnem echem odbił się w społeczeństwie proces fabryki dykt (sklejanych fornirów) w Białymstoku, należącej do dyrekcji lasów państwowych. Dyrektor tej fabryki usiłował przekupić pracownika fabryki analogicznej, ale prywatnej, w Mostach, aby wykradł tajemnicę używanego tam kleju. Obiecano za to owemu pracownikowi posadę. Widzimy więc, że w widokach dalszej etatyzacji, radosna twórczość nie przebiera w środkach przeciągania ludzi na tamtą stronę linji podziału. („Warsz. Dz. Nar." № 25).

— — — — — — — — — — — —

Czyżby więc pod spodem nurtowała myśl komunistyczna? I to nie. Socjalistyczny „Robotnik", mający przecież w programie ideję upaństwowiania (totalnego) życia, bardzo krytycznie na ten etatyzm patrzy:

„O tak zwanym „etatyzmie" specjalnie pomajowego typu, pisywaliśmy często, oświetlając jego właściwy charakter i nazywając go „etatyzmem podszewką do góry". Wszystko bowiem, co dotąd zrobiono u nas w tej dziedzinie, to jakieś kompletnie pokraczne zniekształcenie rzeczywistej roli etatyzmu i jego istotnego sensu i celu. Zniekształcenie połączone w dodatku z angażowaniem funduszów publicznych

w różnorakich imprezach, co finanse państwa na niejedną już naraziło stratę. Gdy dodamy, że spekulacja kapitalistyczna w Polsce nigdy dawniej nie rozpanoszyła się i nie wyzyskiwała kraju tak bezkarnie, jak właśnie za rządów naszego „etatyzmu"(!) wtedy dopiero w pełnem świetle wystąpi „etatystyczny" dziwoląg, jaki podrzuciła krajowi „ekonomja" sanacyjna".

Pokazuje się więc, że nikt nie rozumie logiki w tej bezplanowej „planowości" gospodarki: ani liberalni ekonomiści, ani socjaliści, ani konsumenci, ani robotnicy, przedewszystkiem sami etatyści, którzy dopiero teraz zabierają się do badania tego, co zrobili, i tego, co dalej robić mają. Jeden p. Stpiczyński w „Kurjerze Porannym" z tupetem utrzymuje, że on rozumie. „Tak będzie" — zapowiada w tytule, występując do walki z opinją publiczną. Tak być musi i tak będzie! Ale wiemy, że jest to herold „pogłębiania rewolucji", zaczętej w r. 1926.

Logika Stpiczyńskiego jest taka:

„W atmosferze polskiej bezmyślności" zrodziła się zabawna troska o „tytuły własności" warsztatów. Wszystko jedno, do kogo należy warsztat, aby wytwarzał. Rzecz ściąga się poprostu do psychologji przyzwyczajenia. Karabin nie razi jako wyrób państwowy, a sok malinowy razi. Powołanie „jakiejś komisji" do badania spraw etatyzacji przemysłu tylko pomnaża zamęt, wywołany przez Lewjatana, obrońcę kartelów. A cóż to jest kartelizacja? Jest to stopień do etatyzmu. Zdawałoby się, że p. Stpiczyński popierać powinien kartele, ale nie—plącze się. Zresztą — powiada— przemysł prywatny sam się państwu oddaje, bo nie umie pracować itd.

Są mentalności, dla których pojęcia rewolucji i bałaganu są jednoznaczne.

— — — — — — — — — — — —

Całe to widowisko, tak bardzo amatorskie, musi mieć swoich krytyków fachowych zarówno politycznych, jak i rozważających rzecz ze strony ekonomicznej, przedewszystkiem zaś musi się spotkać z przeciwdziałaniem ze strony — publiczności.

Według mnie najbłędniejszy jest pogląd, jakoby tu istniał jakiś rozmysł i plan gospodarczy. To wszystko samo się stało, jakoś takoś, licho wie skąd. Jakiś Boruta zmamił na manowce błędnemi ognikami. Prymityw romantycznej polityki zetknął się ze skomplikowaną rzeczywistością i zaplątał się w niej. Starczyłoby to na balladę, na twórczość dziejową zabrakło kompetencji.

Pokolenie to z bardzo uproszczonym mechanizmem duszy, zwykle zzewnątrz niewidzialną ręką nakręcanym, szło na ślepo i wreszcie znalazło się na pochyłości bezwładne i bezradne, naśladujące chwyty sobie znane z obserwacji na wschodzie. Mamy przecież w oczach przykład Sieroszewskiego, luminarza duchowego tej generacji. Trzeba być sprawiedliwym i nie posądzać go o możliwości planowania według jakiejś wielkiej idei. A szeregi? Te szły za legendą, w której złote runo dużą grało rolę i wyobrażały sobie, że skarb państwa dna nie ma. Boruta kusił, roztaczając obraz świata, ścielącego się do nóg temu, kto rozporządza władzą, chlebem, cudem i tajemnicą.

Byczo jest — powiedziano sobie. Więc linja podziału między nimi a światem. Ale człowiek z bajki musi mieć na to wykonawców, więc biurokracja. Człowiek z bajki dostał się w jej ręce. Odtąd już nie wie, co się dzieje dalej.

Planowa gospodarka, etatyzm, totalizm, komunizm, korporacjonizm—są to wszystko wyrazy, którym radosna twórczość sama się dziwi, że tak się nazywa to, co ona robi. Samo się robi, jakby kto w noc św. Andrzeja lał wosk na wodę.

Cała rzecz polega na przeciwstawieniu się światu: my i reszta, a między nami i resztą, kolczasta linja podziału. Sprawa redukuje się do mechanicznego posuwania linji na powierzchni życia przez zajmowanie stanowisk intratnych. Posada rodzi posadę. Gdy przeładowany teren państwowy, linja posuwa się coraz głębiej w posiadłości prywatne. Co krok to posada i dwie i dziesięć. Niech się ekonomiści troszczą, co z tego wyniknie dla gospodarki, biurokracja swoje robi.

Właśnie dla zilustrowania istoty tych stosunków przytoczyłem na początku jedną ze scen, jakie się rozgrywają nietylko u szczytu społeczeństwa, ale już na dole między szarym człowiekiem i purpurowym biurokratą.

Linja podziału!

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

MARTWA RĘKA „SANACJI", gdzie dotknie, szerzy martwotę. Miała Polska co do tego już liczne przykłady, zarówno w rzeczach wielkiej wagi, jakoteż — małych, a teraz mamy do zapisania nową tego rodzaju sprawę — drobną, zaś w stosunku do mocarstwowych gestów martwej ręki—bardzo drobną, ale znamienną, a nawet jakby—symboliczną.

W ciągu paru ostatnich lat dużo było hałasu dokoła pomysłu przebicia jezdnej ulicy poprzez Ogród Saski od ulicy Marszałkowskiej do Żelaznej Bramy. Martwa ręka czyniła gesty teatralne, tragiczne, że oto zatamowany jest ruch pomiędzy Północą a Południem Stolicy Wielkiego Mocarstwa, że Warszawa się dusi i tym podobne, co należało tak czytać, że żydy duszą się w ciasnocie Nalewek i nie mają dogodnego połączenia z bardziej polską dzielnicą, którą właśnie z dużym rozpędem zażydzają. Przeciwnikom tego pomysłu zarzucano reakcyjność, czułostkowość, nacjonalizm polski, kołtuństwo małomieszczańskie i wiele tym podobnych zbrodni, przeciw Postępowi i Duchowi Czasu dokonywanych.

„Sanacja," oczywiście, zwyciężyła i ulicę przebiła. I oto od trzech miesięcy gotowa ulica świeci pustką i martwotą, bez ruchu jezdnego — niczem jakaś boczna ulica przedmieścia! Wyrzucono mnóstwo pieniędzy i zmarnowano zachodnią część Ogrodu Saskiego po to, żeby mogły tędy przewlec się trzy na godzinę taksówki i dwie dryndy poczciwe. Nadomiar — zrobiono to połowicznie i niechlujnie. Połowicznie, bo skoro już postanowiono łączyć Południe z Północą, to należało ulicę skierować prosto do Senatorskiej, a nie zakręcać na lewo. Niechlujnie, bo na chodniku zachodnim „sentymentalnie" pozostawiono kilka dużych drzew, co i dla drzew jest niegodną komedją i chodnik zepsuło doszczętnie, zaś chodnik wschodni zrobiono tak wązki, że zaledwie dwu przechodniów na nim minąć się może.

Przez martwe dusze martwą ręką przebita ulica, mająca złączyć żydowską i polską dzielnice Stolicy, zaległa pustką i martwotą. Niechże to będzie symbolem nowych czasów, żywo w Polsce nadchodzących.

„NAJGŁĘBSZE ZANIEPOKOJENIE muszą budzić objawy słabości i niedojrzałości"... W ten sposób usiłuje zatrwożyć opinję polską „Gazeta Polska" na wieść o tem, że młodzież uniwersytecka wyznaje głośno uznanie dla zasług Romana Dmowskiego. Zaiste, trzeba się doskonale oderwać od społeczeństwa, aby wygłaszając takie słowa nie czuć obawy, że ktoś każe się z tych słów wytłumaczyć. Bo jakże? Czy Dmowski krzywdę Polsce zrobił, że dobrze przewidział drogę do niepodległości i traktat w Wersalu podpisał? Co za sens mają podobne fochy organu „państwowości" polskiej?

Z powodu tego fałszywego tonu, kompromitującego publicystykę polską, „Słowo Pomorskie", wyraża zdziwienie, na jakiej podstawie logicznej i prawnej publicysta polski kwestjonować może obywatelom prawo wyrażania czci Dmowskiemu. Tę cześć mają dla Dmowskiego nawet przeciwnicy polityczni poczytalni moralnie:

„Tajemnica tego w naszem życiu politycznem niecodziennego zjawiska leży bezwątpienia w etycznym i politycznym potencjale indywidualności Romana Dmowskiego. „Dumna prostota i szlachetna wielkość" — może jest to najbliższe prawdy określenie wyjątkowego charakteru i umysłu, postaci i dzieła tego największego, zdaniem opinji europejskiej, polityka polskiego i męża stanu na ostatnim przełomie dziejów Polski i Europy.

Polska i Europa ufała patrjotyzmowi i potędze umysłu Romana Dmowskiego, kiedy w imieniu narodu i państwa polskiego podpisywał on wraz z Ignacym Padarewskim—Traktat Wersalski. Historja kiedyś stwierdzi, że było to moralne i polityczne „zwycięstwo narodowej ideologji państwowej", bez której polska nowoczesna myśl niepodległościowa byłaby musiała podzielić los bohaterskich wysiłków wszystkich powstań narodowych. Roman Dmowski był tej ideologji żywym i najpełniejszym wyrazem i dlatego nacjonalizm polski, mimo zmiennych wypadków politycznych, przenika dzisiaj a i w przyszłości przenikać będzie serca i umysły młodego pokolenia żywiołów narodowych".

Zasługi Dmowskiego są objektywnie stwierdzone przez historję i moralnie w duszy narodu ugruntowane:

„Narodowej ideologji państwowej Romana Dmowskiego nie zmoże ani prosty żołnierz, ani generał, ani robotnik, ani inteligent, ani starosta, ani minister, „bo jest ona krwią duchową ich pracy, kultury i służby" na usługach Rzeczypospolitej. W tej ideologji jest przeszłość i przyszłość ducha dziejów Polski, jest moralny i polityczny nakaz tworzenia i umacniania rządów państwa na niezniszczalnych fundamentach solidarności narodowej.

Więc jakąż to zbrodnię popełniła młodzież, wyrażająca cześć Dmowskiemu?

„Czy duch prawa polskiego może w czemkolwiek zaprzeczać duchowi i przekonaniom narodowym polskiej młodzieży akademickiej? Czy duch prawa polskiego może komukolwiek w państwie nakazywać milczenie w chwilach, gdy serca i umysły młodych patrjotów polskich składają winny hołd najwierniejszemu synowi Ojczyzny, jakim jest Roman Dmowski".

Słuszna jest konkluzja artykułu, że tylko małe duchy boją się ducha Ojczyzny.

NAUKA i LITERATURA

„CZARNY LĄD"

SŁAWNA nie tyle może ze swoich utworów literackich (wierszy, powieści, nowel, opisów podróży) ile raczej z rozmaitych ekscentrycznych pomysłów, o których różnemi czasy sporo w Warszawie gadano (nagi portret etc.), pani Wanda Melcer niegdyś Rutkowska, później Sztekkerowa (wdowa po znanym zapaśniku cyrkowym) wydała świeżo w jedenastoarkuszowej broszurze, zatytułowanej „Czarny ląd — Warszawa" (Dom Książki Polskiej), rozszerzony przedmową zbiór nader interesujących reportaży z życia żydowskiego, drukowanych w ciągu ubiegłego roku na łamach „Wiadomości Literackich".

Tytuł pierwszego z owych reportaży opiewa: „Żyd urodził się i zaczyna się uczyć". Opisane są tu barwnie, wymownie i szczegółowo przykre wrażenia pani Wandy Melcer, jakich doświadczyła ona mając rzadką dla katoliczki okazję asystować przy barbarzyńskim obrzędzie obrzezania żydowskiego noworodka w jednej z najszykowniejszych i najdroższych izraelickich klinik położniczych, znajdującej się — jak zapewnia autorka — w „eleganckiej" dzielnicy warszawskiej.

Obrzezanie w owym rzekomo sanitarnym zakładzie odbywa się w sposób równie prymitywny, jak w najzapadlejszych dziurach prowincjonalnych. Nie stosuje się przy tym krwawym obrzędzie żadnych absolutnie środków antyseptycznych. Dokonywujący ceremonji operator, czyli tak zwany *mohel*, wysysa krew z rany poprostu ustami, narażając bądź to siebie, bądź też noworodka na zakażenie się syfilisem.

W dalszym ciągu tegoż rozdziału autorka zdaje czytelnikowi sprawę ze swoich odwiedzin w najrozmaitszych warszawskich początkowych szkołach żydowskich, w t. zw. „*talmudtora*'ch" i „*cheder*'ach", gdzie kilkuletnim bachorkom okalecza się duszę i zagważdża od wczesnego ranka do późnego wieczora głowizny wykuwaniem na pamięć zupełnie niezrozumiałych hebrajskich tekstów talmudycznych, w warunkach urągających najelementarniejszym wymaganiom hygjeny.

W reportażu drugim, noszącym tytuł: „W mykwie i pod baldachimem", znajdujemy dokładny, niemiłosiernie posępny opis rytualnej kąpieli kobiet żydowskich oraz połączonych z kąpielą zabobonnych praktyk.

Dowiadujemy się z tego reportażu, że kąpiel dla prawowiernych żydówek jest zabiegiem nietyle hygjenicznem, ile raczej magicznym. Żydówka bowiem kąpie się nie poto, żeby zmyć z ciała brud, lecz przedewszystkiem poto, żeby się magicznie oczyścić z nieczystości metafizycznej.

Rozdział ów uzupełniony jest opisem żydowskiego ślubu, na który autorka została zaproszona. Znajdujemy tu również pouczające uwagi na temat rozwodów żydowskich i związanych z rozwodami nadużyć.

Trzeci reportaż (tytuł „*Bussiness is bussiness*") przedstawia szczegółowo oszukańcze praktyki zaręczynowe u żydów, a dalej opisuje święcenie soboty, handel dewocjonaljami żydowskiemi, wycieczki pani Melcer do żydowskich koszernych jadłodajni, wreszcie zawiera dłuższą rozprawkę na temat uboju rytualnego. Jak powszechnie już (właśnie dzięki kampanji prasowej, którą ów reportaż wywołał) wiadomo, wszyscy mieszkańcy Warszawy spożywają mięso ze zwierząt bitych w niehumanitarny sposób rytualny, przez starozakonnych rzezaków. W tymże reportażu znajdujemy ciekawe spostrzeżenia i uwagi, dotyczące „*szabesgojów*" oraz sławnej „*chazuki*", czyli monopolu, jaki od gmin żydowskich wykupują handlarze i kupcy na eksploatowanie poszczególnych „gojów".

Wreszcie w reportażu ostatnim pani Wanda Melcer opowiada rozmaite nieprzyjemne rzeczy o krwawych ofiarach praktykowanych w Sądny Dzień, dalej pisze o świętach: Jom Kipurze, Kuczkach, Purymie, Pesachu. (Podczas święta Pesach przy uczcie sederowej odbywa się w rodzinach żydowskich wywoływanie dusz zmarłych przodków).

Pani Wanda Melcer była zaproszona na uroczystość „*Chanuki*" do żydowskiego szpitala na Czystem.

Dowiadujemy się, że w owym szpitalu (gdzie tak często odbywały się rewizje policyjne w poszukiwaniu komunistycznej bibuły) pacjenci pozwalają sobie na profanowanie katolickich kolend. Śpiewają przy choince:

„Wśród nocnej ciszy
głos się rozchodzi:
Przyjdźcie pasterze"

a dalej bez sensu:

„pókiśmy młodzi”.

Znany w Warszawie dowcip o małej żydóweczce, która pytała się swojej matki: „Czy u gojów także bywa choinka?“ oparty jest prawdopodobnie na zdarzeniu autentycznem.

Książkę zamyka sprawozdanie z pogrzebu starej żydówki, poprzedzonego ceremonją mycia zwłok, którą to ceremonję autorka również oglądała na własne oczy.

Pani Wanda Melcer nie jest ani odrobinę antysemitką. Broń Boże! Deklaruje się ona, jako najżarliwsza przeciwniczka wszelkiego nacjonalizmu, zarówno żydowskiego, jak polskiego.

Pisze

„...dążeniem naszem musi być całkowite równouprawnienie żydów — nie tylko na papierze, na którym się pisze konstytucję“.

Zdaniem jej:

„Żydzi muszą mieć dostęp do wszystkich nauk, wszystkich prac i wszystkich urzędów“.

Pomimo to, broszurę pani Wandy Melcer musimy uznać za bardzo pożyteczną z naszego, narodowego, punktu widzenia. Książeczka zasługuje na przeczytanie przez Polaków, żywiących w kwestji żydowskiej pragnienia biegunowo przeciwne pragnieniom autorki. Z bardzo wieloma wnioskami pani Wandy Melcer pogodzić się niepodobna. Ale pouczające fakty, przedstawione przez autorkę, skłonią na szczęście niewątpliwie olbrzymią większość jej czytelników do wyciągnięcia wniosków zupełnie innych.

WYKŁADY O MASONERJI I ŻYDOSTWIE

DR. K. M. MORAWSKI, znany badacz masonerji, w ciągu roku 1935 kontynuował cykl popularyzujących wykładów na powyższe tematy, rozpoczęty w latach 1932-4.

Objechawszy w ciągu pierwszych dwu lat propagandy ważniejsze ośrodki krajowe, w roku ubiegłym wygłosł dr. Morawski następujące wykłady:

W Żyrardowie — dzięki inicjatywie miejscowego dziekana, X. Kossakowskiego, który co roku urządza cykl wykładów dla miejscowej inteligencji, mówił p. Morawski dwukrotnie na temat zagadnień mesjanizmu żydowskiego i masonerji. (Anologiczne wykłady, z uwzględnieniem nadto specjalnem genezy rozbiorów, wygłosił był nasz badacz, poprzedniej jesieni, staraniem „Akcji katolickiej“ w Białymstoku i Suwałkach).

Wykład o mesjaniźmie (w oparciu o dzieło X. dr. Trzeciaka) powtórzył Morawski na gruncie rozwiązanego świeżo Towarzystwa im. Piotra Skargi (z inicjatywy O. prowincjała T. J. Sopucha).

Nadto przemawiał autor „Źródeł rozbioru Polski“ jeszcze dwukrotnie: w kasynie mianowicie w Sosnowcu dla miejscowej inteligencji i w Warszawie dla kółka studjów nad rewizją historjografji polskiej, zawiązanego przez poważny odłam młodzieży akademickiej.

Najbardziej opornemi, jak dotąd, w asymilowaniu rzeczowej propagandy, okazywały się terytorja b. archidjecezji galicyjskiej, opanowane w tak znacznej mierze przez wpływy prasowe I. K. C. W braku zainteresowania ze strony tamtejszej „Akcji katolickiej“ wypadło sobie tedy radzić za pomocą inicjatywy prywatnej.

Początek dał w początku bieżącego roku „Dom katolicki“ w Rudniku n/Sanem (wsławionym niegdyś „ekwipeją“ masońską Karola-Gustawa), urządzając w sam Nowy Rok, z udziałem około stu osób z inteligencji, wykład dra Morawskiego na temat: „Wskazania Ewangelji a sekta masońska“ (uzupełniony dyskusją).

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Swojego czasu pisaliśmy na tem miejscu, że należałoby się naszej literaturze powieści o niezwykłych losach Krzysztofa Arciszewskiego, głośnego na obu półkulach ziemskich admirała-kontwistadora, a przytem jednego z fachowych znawców techniki wojskowej w XVII w. Wskazywaliśmy wtedy, że powieści takiej mógłby się podjąć J. B. Rychliński, który jako długoletni marynarz i dobry znawca terenu działań Arciszewskiego, a przytem pisarz o wyrobionym stylu, czułby się w tym temacie jak u siebie w domu. Rychliński radę wziął sobie widocznie do serca, skoro powieść taką istotnie ukończył (ukazała się p. t. „Przygody Krzysztofa Arciszewskiego” nakł. Książnicy Atlas).

Że się do niej sumiennie przygotował, świadczą odsyłacze źródłowe, a także i przedmowa, w której cel swój wyłożył. Cel ten jest — niecałkiem potrzebnie — zaprawiony nutą polemiczną. Uległ autor modnym dziś nagankom na „Trylogję” Sienkiewicza; prawda, że autor „Trylogji” więcej znacznie pisze o Wiśniowieckim niż o Arciszewskim, ale czyż to zaraz za „krzywdę” należy uważać? Skrzywdziłby go tylko wtedy, gdyby się o nim ujemnie wyraził, a od tego Sienkiewicz był daleki. Może raczej Rychliński powinien być wdzięczny autorowi „Trylogji”, bo się od niego dużo nauczył, zwłaszcza w zakresie stylu, który nabrał wielkiej potoczystości, a wyzbył się barokowej „przysady”, jaką trochę jeszcze grzeszyła „Róża korsarska.” Powieść o Arciszewskim nie dorównywa wprawdzie wartością literacką powieściom Szczuckiej na tle XVII w., ale góruje pod każdym względem nad opartemi o tenże wiek powieściami Ossendowskiego, które wprost zamęczają czytelnika swą fałszywą archaizacją.

Nicią, która wiąże akcję powieści Rychlińskiego i nadaje utworowi sens ideowy, jest osoba Smętka, towarzyszącego Arciszewskiemu. Wiemy, skąd ona wzięta — każdy ją sobie przypomina z „Wiatru od morza” Żeromskiego. To wspomnienie roli i nazwiska narzuca się zbyt często, nawet wtedy, gdy koncepcja autora bywa od Żeromskiego niezależna. Ideję przewodnią powieści Rychliński wyraża w parabazie wierszowanej, niestety trochę sztywnej i zbyt goniącej za efektem. (J. B.)

*

Nakładem Instytutu Śląskiego, jako I tom Pamiętnika tego Instytutu, ukazało się w Katowicach dzieło zbiorowe, zredagowane przez Romana Lutmana p. t. „Stan i potrzeby nauki polskiej o Śląsku“. (Stron XXVI i 525. Skład główny w Kasie im. Mianowskiego. Cena zł. 15, w opr. 18.)

W wydawnictwie tem pomieszczono prace 17 autorów, którzy opracowali poszczególne dziedziny nauki. Omówiono tu stan i potrzeby nauki polskiej o Śląsku w następujących dziedzinach: geologji — M. Książkiewicz i E. Passendorfer, botaniki—A. Kozłowska i T. Bocheński, zoologji — J. Czudek, geografji — A. Wrzosek, kartografji — B. Olszewicz, antropologji — K. Stołyhwo i L. Sedlaczek-Komorowski, etnografji — M. Gładysz, językoznawstwa—K. Nitsch, piśmiennictwa śląskiego—W. Ogrodziński, prehistorji—J. Kostrzewski, historji—K. Piotrowicz, historji sztuki—M. Gębarowicz, stosunków gospodarczych i społecznych — W. Olszewicz, prawa i demografji — E Kostka.

Każda rozprawa zawiera obszerne omówienie dotychczasowej literatury przedmiotu, następnie zaś zajmuje się analizą stanu obecnych badań i wysuwa najpilniejsze postulaty naukowe, wykazując, jakie zagadnienia i w jakiej kolejności powinny być opracowywane. Autorzy w swych opracowaniach nie ograniczyli się tylko do terenu obecnego województwa śląskiego, ale rozważaniami swemi objęli cały historyczny Śląsk, kładąc oczywiście nacisk na tereny etnograficznie polskie.

Obszerne przeglądy bibljograficzne czynią z tego wydawnictwa równocześnie przewodnik bibljograficzny po literaturze śląskiej. Omawiana praca jest pierwszem tego rodzaju wydawnictwem w literaturze polskiej, poświęconem szczegółowemu omówieniu stanu i potrzeb nauki jednego regjonu. Niewątpliwie też stanie się podstawą przy dalszych badaniach naukowych nad zagadnieniami naukowemi dotyczącemi Śląska.

TEATR

NIEDOBRA MIŁOŚĆ

W WYSTAWIONYM ubiegłego czwartku przez Teatr Narodowy nowym trzyaktowym utworze dramatycznym pani Zofji Nałkowskiej pod tytułem „Niedobra miłość” znakomita członkini Polskiej Akademji Literackiej i tegoroczna laureatka nagrody beletrystycznej Ministerstwa

Oświecenia Publicznego i Wyznań Religijnych nie ograniczyła się niestety do pokazania nam na scenie jakiejś jednej niedobrej miłości (coby przecież, mówiąc nawiasem, do napisania dobrego dramatu było tak całkowicie wystarczające, jak według staropolskiego przysłowia, do dobrego barszczu wystarcza całkowicie jeden grzyb) ale pokazała nam dużo, bardzo dużo, o wiele zadużo niedobrych miłości.

Spróbujmyż je wymienić. Bodaj niektóre.

Pokazano nam tedy przedewszystkiem niedobrą, cudzołożną miłość pani Renaty Słuczańskiej do pana Pawła Blizbora.

Następnie niedobrą miłość pana Pawła Blizbora do pani Renaty Słuczańskiej.

Już mamy dwie.

Dalej niedobrą (zazdrosną, zatruwający życie) miłość Pawła Blizbera do żony jego, Agnieszki i tragiczną (zakończoną — jak wiemy z książki — samobójstwem) miłość pani Agnieszki Blizborowej do męża.

To byłoby już cztery.

Później niedobrą miłość starego erotomana bankiera Niewolewskiego do panny Mani.

Niedobrą, bo nieszczęśliwą miłość, którą do tejże Mani żywi Julek Słuczański.

Miłość starczą, beznadziejnie zrezygnowaną starego Słuczańskiego do Renaty. Miłość, która przyprawiła pierwszą jego żonę o obłąkanie i śmierć samobójczą.

Miłość, oczywiście niedobrą, Julka Słuczańskiego do macochy.

I tak dalej, i tak dalej, i tak dalej.

Przerwijmy to wyliczanie, aczkolwiek lista niedobrych miłości, poplątanych z sobą w sposób nieprawdopodobnie zawikłany, bynajmniej jeszcze nie jest kompletna. Wymieniliśmy tylko niedobre miłości najważniejsze, te, które zostały nam przedstawione na scenie, albo też opowiedziane detalicznie przez aktorów. Nie włączamy do spisu tych niedobrych miłości, o których w sztuce wspomina się tylko mimochodem (naprzykład miłość niedobra, pacząca życie, ojca panny Mani, prowincjonalnego literata, do jej matki, byłej służącej). Ale już te romanse, któreśmy wymienili, wystarczą niewątpliwie, aby przekonać czytelnika, że jest tego dobrego a raczej niedobrego w utworze pani Zofji Nałkowskiej cokolwiek za dużo. Wystarczyłoby owego materjału na pięć conajmniej a może i dziesięć dramatów „nabitych treścią".

Otóż wskutek mnogości tych romansów widzowi niełatwo się zorjentować, która mianowicie z tych wszystkich „niedobrych miłości" jest miłością tytułową. Nasuwa się przypuszczenie, że autorka użyła przymiotnika „niedobry" w znaczeniu jaknajogólniejszem, że nie zastosowała go do żadnego poszczególnego z pokazanych na scenie romansów, lecz że zamierzała w tytule stwierdzić, iż miłość wogóle jest rzeczą niedobrą.

No dobrze, ale jeżeliby tak było, to pocóżby pani Nałkowska pokazywała nam zdrowe, normalne, szczęśliwem narzeczeństwem uwieńczone uczucie panny Mani do Justyna Słuczańskiego?

Nie główmy się zadługo nad tym problematem. Moglibyśmy sobie zwichnąć na nim mózg. Skonstatujmy poprostu że tytuł sztuki nie tłumaczy się wyraźnie, że jest niejasny, mętny, że wolelibyśmy inny i przejdźmy czemprędzej do innych kwestyj.

Zaraz, zaraz.

Chwileczka.

Jakiż tytuł byłby najwłaściwszy?

Zdaje mi się, że najbardziej stosowny byłby: „Tragiczna kwoka".

Ewentualnie: „Demoniczna kura".

Albo: „Szatańska gęś".

W każdym razie coś w tym rodzaju. Proszę ani na chwilę nie przypuszczać, że pozwalam sobie na niewłaściwe drwiny. Skądże znowu! Gdzieżbym się ośmielił. Ani mi to w głowie. Piszę najzupełniej serjo.

Główna bohaterka sztuki, pani Renata Słuczańska, to przecież typowa kura domowa, prowincjonalna kwoczka, spełniająca wzorowo swoje obowiązki żony, macochy i gospodyni. Dba o męża i pasierbów. Starannie utrzymuje porządek w domu. Pasierb jej Justyn powiada o niej do swego brata Julka w pierwszym akcie co następuje:

— Pani Renata! Co za typ! Albo przy blasze w kuchni, albo przy robocie w ogrodzie. Zawsze ją widzę w fartuchu. To jest chodząca doskonałość. Słuchaj, czy ona nigdy nie robi sobie *manicure?*

Otóż ta chodząca doskonałość, ta cicha kobiecina ani odrobinę nie zalotna, nigdy nie flirtująca, nie używająca napewno ani pomadki do ust ani innych równie niewinnych kosmetyków, osóbka towarzysko niewyrobiona, nieśmiała, wkładająca całą duszę bądź to w pielenie grządek, bądź też w przyrządzanie kruchych ciasteczek, albo polędwicy smakującej pasierbom, „jak łosoś", odbiera męża (*notabene* męża zakochanego w żonie po uszy) pięknej, bogatej, wykształconej, eleganckiej, wielkoświatowej, czarującej, inteligentnej, wymownej, wyondulowanej, wymanikurowanej, wypedikurowanej Agnieszce Blizborowej i doprowadza ową nieszczęsną Agnieszkę do samobójstwa.

A przedtem wtrąciła do zakładu dla obłąkanych i przyprawiła o śmierć samobójczą pierwszą żonę swojego męża.

A przedtem jeszcze rozkochała w sobie kilkunastoletniego Julka Słuczańskiego.

Wszystko to uczyniła pomimo swojej woli. Niczemu nie jest winna. Nie kiwnęła niepielęgnowanym paluszkiem w przydeptanym pantofelku, żeby unieszczęśliwić najpierw panią Słuczańską, następnie zaś panią Blizborową. Nie chciała, jako żywo, niczyjego nieszczęścia, ale cóż biduła mogła na to, proszę państwa, poradzić, że była w niej taka fatalna, magiczna, djabelska jakowaś siła, która wbrew jej woli uwodziła mężczyzn i unieszczęśliwiała kobiety.

Renata musi porzucić Słuczańskiego i wyjść za mąż za Pawła Blizbora, bo tak chce przemożna chuć. Chuć *à la* Przybyszewski, przed którą, z arbitralnej woli autorki, powinniśmy się ukorzyć. Pani Nałkowska przezwała ową chuć enfamicznie „niedobrą miłością". Mogła ją równie dobrze nazwać „ślepym losem", „Ananke", „Fatum", „Przeznaczeniem" albo jeszcze inaczej.

Renata przed porzuceniem męża starannie posprząta pokoje, pościera kurze z mebli i na kwadrans jeszcze przed ostatecznem wyjściem z mężowskiego domu i przeniesieniem się do nowego gniazda — zatrudniać będzie pracowite, niewymanikurowane paluszki robótką włóczkową na drutach.

Naczelnym zamiarem pani Nałkowskiej było zapoznanie widzów z interesującym charakterem Renaty. To był główny cel przyświecający znakomitej pisarce przy tworzeniu „Niodobrej miłości". Zamiaru swego autorka szczęśliwie dopięła, bo charakter Renaty poznaliśmy dokładnie. Ale uczyniła to w sposób narracyjny raczej, niż dramatyczny. O charakterze bohaterki dramatu dostarczają nam niestety więcej informacyj opowiadania aktorów, niż wydarzenia oglądane przez nas na scenie. Wszystkie conajciekawsze wypadki w tej historji rozegrały się bądź to w antraktach, bądź za kulisami, bądź też przed podniesieniem kurtyny. Sztuka została przerobiona z powieści. Przeróbka wypadła niezbyt zgrabnie.

W dobrych utworach scenicznych węzeł dramatyczny zawiązywany bywa zazwyczaj dopiero po ukończeniu ekspozycji. U pani Nałkowskiej ekspozycja ciągnie się aż do połowy trzeciego aktu. Dopiero w trzecim akcie zaznajamiamy

się elementarnie z charakterem Renaty, a supełki dramatyczne musiały z konieczności zostać zadzierzgnięte oczywiście już w akcie pierwszym. Patrzyliśmy na perypetje dramatu, zanim zapoznaliśmy się z główną jego osobą. Rezultat: dramat obchodził nas bardzo mało. *Notabene* nie tyleśmy na nie patrzyli, ile raczej domyślaliśmy się ich i to w dodatku domyślali fałszywie. W pierwszym antrakcie mieliśmy prawo przypuszczać, że Blizbor kocha się jeszcze w swojej żonie, której przed chwilą zrobił w naszych oczach scenę zazdrości. Tymczasem on zdążył już — jak się okazuje, — zakochać się w Renacie. W antrakcie drugim mieliśmy prawo mniemać, że Renata pozostanie przy mężu, bo przecież pod koniec drugiego aktu zadeklarowała się jako przeciwniczka rozwodu. Tymczasem ona wynajmowała już sobie z Blizborem nowe mieszkanie.

Charaktery kobiece zostały przez panią Nałkowską przedstawione naogół wyraźnie. Znakomita pisarka celuje zwłaszcza w przedstawieniu ,kobiecej niekonsekwencji. Męskie postacie wypadły daleko słabiej. Najgorzej udała się pani Nałkowskiej postać fatalnego kochanka — Blizbora. Postać absolutnie nijaka. Wcale nie możemy pojąć dlaczego rozkochał w sobie Renatę Słuczańską. Bo rozkochał i tyle— powiada nam autorka. Musi nam to wyjaśnienie wystarczyć. Nie wiemy także dlaczego się zakochała w nijakim Blizborze Agnieszka. Po co ta Agnieszka zamiast żyć w stolicy, „w wielkim świecie", zamieszkała w prowincjonalnej dziurze — jest również dla nas zagadką. Słyszeliśwy na początku pierwszego aktu, że jest bardzo bogata. W akcie drugim pokazano nam na scenie jej wspaniały, umeblowany arcy-kosztownie apartament. Wiemy pozatem, że jest córką człowieka bardzo wpływowego, ministra Walewicza. Przecież przy swoich środkach materjalnych i przy swoich stosunkach mogła chyba łatwo wytrzasnąć dla swego męża jakieś przyjemniejsze stanowisko, niż skromną posadkę urzędniczą w powiatowem starostwie.

Rolę Renaty gra bardzo dobrze pani Gorczyńska. Grająca rolę Agnieszki Blizborowej panna Romanówna nie góruje niestety nad panią Gorczyńską urodą. Chcę powiedzieć, że obie artystki podobają się mi jednakowo, a według intencyj autorki Agnieszka pod każdym względem powinna zdaje się, Renatę przewyższać, przedewszystkiem zaś pod względem powabów fizycznych.

Rolę panny Mani odtwarza panna Andryczówna. Postać ta (panny z małego miasta, zarabiającej na utrzymanie rodziny pracą biurową) należy do najlepiej narysowanych w sztuce, chociaż pęta się po scenie właściwie niewiadomo poco, bo w dramacie żadnego udziału nie bierze. Panna Andryczówna zrobiła z roli tej Mani małe arcydziełko aktorskie. W rolach męskich występują pp. Woskowski, Kreczmar, Roland, Socha i Chmurkowski. Sztuka została wyreżyserowana przez p. Ryszarda Ordyńskiego.

ST. G.

MUZYKA

TEATR WIELKI —„Goplana", opera Władysława Żeleńskiego. Gdy przed paru laty wznowiono Władysława Żeleńskiego „Goplanę" w oprawie scenicznej Wincentego Drabika, opinja świata artystycznego Warszawy zareagowała na to w sposób niezwykle przychylny. „Nareszcie"—mówiono— „pomijając stronę muzyczną, mamy w Operze prawdziwy teatr!"

„...Pomijając stronę muzyczną..." — Nie sądzę, ażeby chciano tu przedewszystkiem wyrazić zdanie o jej wartości. Cieszono się jedynie, że nareszcie przedstawienie operowe potraktowano jako teatr. Pragnął tego zresztą Żeleński, wybierając temat z okresu przedhistorycznego, baśń, legendę, dającą duże pole do popisu plastykowi scenicznemu. Malarskie dekoracje Drabika sprawiły, iż wystawienie „Goplany" wywarło duże wrażenie — śmieszna, banalna i pozbawiona wszelkiego smaku, typowa „opera" zniknęła gdzieś zastąpiona prawdziwie poetyckiem widowiskiem.

Nie wiem, czemu należy przypisać przypomnienie stolicy tej właśnie sztuki. Zapewnie jednak, tak jak i większość premjer, wspomnieniom dyrektorki p. Korolewicz-Waydowej. Odpiera to poważnie zarzuty stawiane dzisiejszemu kierownictwu teatru operowego, dając bowiem ludziom wspomnienie, daje im się przecież to, co się ma najdroższego...

Żeleński był niewątpliwie jedną z najwybitniejszych postaci muzycznych w drugiej połowie wieku XIX-go, jeśli obok Moniuszki nie najwybitniejszą. Zwą go epigonem romantyzmu. Któż nim nie był naówczas w okresie... pozytywizmu! Wszak Prus zakładał sklepy rękami Wokulskiego, ale równocześnie uciekał do szczerego, bardzo swojego pamiętnika Rzeckiego, oficera rewolucji węgierskiej, któremu pęd ku „pracy organicznej" kazał zamienić się w subjekta.

Wychowując się na twórczości wielkich mistrzów, twórca „Goplany" z tymi poczuł związek największy, którzy byli przejawem uczucia typu lirycznego. I tak z postaci Fryderyka Chopina wziął jedynie to, co i inni jemu współcześni — melodję, ową swojskość, którą nawet wcale udatnie potrafili podrabiać — przykładem Wieniawski —także i żydzi. Oczywiście w Żeleńskim było to szczere i polskie, dlatego też uważają go powszechnie za niejako ciąg dalszy Stanisława Moniuszki. Z tą postacją muzyczną łączą go również przejawy twórczości operowej. Już w roku 1883-ym pisze swego „Konrada Wallenroda", poczem następuje „Goplana" (pierwsza nazwa „Balladyna", bo na poemacie scenicznym Słowackiego oparto *libretto*), poczem „Janek", wreszcie „Stara Baśń".

Treść literacka powyższych dzieł muzycznych wskazuje, iż Żeleński nie szedł po linji opery realistycznej, ku której wielu kompozytorów poczęło ciążyć, ulegając coraz wyraźniej przejawiającym się powszechnie tendencjom w dziedzinie sztuki. Mieszkając już to w Warszawie, już to w Krakowie, był raczej w orbicie wytwarzających się prądów ściśle lokalnych, związanych z życiem narodowem. Stąd pociąg ku folklorowi i poddawanie się „modzie" zakopiańszczyzny nowoodkrytego Zakopanego, czego przejawem stał się poemat „W Tatrach" oraz przebłyski motywów góralskich w „Janku". Oczywiście nie było to jeszcze takie zużycie niezwykle ciekawych zabytków życia na Podhalu, jakiemi się może poszczycić współczesna muzyka polska. Inny rodzaj, w manierze swoich czasów.

„Goplanę" prowadził Adam Dołżycki. Rolę Balladyny odtworzyła Marja Bojar-Przemieniecka, Aliny — Olga Szumska, wdowy Franciszka Platówna Kirkora— Beval, Kostryna— Płoński, Grabca—Tysiak, Skierka — Lisiewicz, Chochlika—Hupertowa, wreszcie Goplany — Lipowska.

Jakże to dalekie czasy, gdy premjerową obsadę stanowili Korolewiczówna, Sienkiewicz i Myszuga...

W. NARUSZ

NOWE KSIĄŻKI

Rabska Zuzanna. Magja książki. Bibl. młodzieży. 37. Warszawa. Gebethner i Wolff.

Brykczyński Stefan. Moje wspomnienia. Rok 1863. Z 6 rys. K. Gorskiego. Warszawa. Gebethner i Wolff.

Wołoszynowski Juljan. Było tak. Powieść. Warszawa. Książnica Atlas.

Kurek Jan. Woda wyżej. Powieść. Warszawa. Gebethner i Wolff.

Owerłło Paweł. Z tamtej strony rampy. Warszawa. F. Hösick.

POKŁOSIE

KATOLICKIE GŁOSY

NAJBARDZIEJ chyba znamiennym rysem, odróżniającym polską publicystykę ostatnich lat od zespołu głosów publicznych w poprzednich okresach, jest coraz częstsze i silniejsze akcentowanie katolickiego punktu widzenia, katolickiego ideału. Niedawno jeszcze głosy tego rodzaju rozlegały się niemal wyłącznie z łamów organów prasy, które w swym nagłówku charakter katolicki wyraźnie zaznaczały; dziś nietylko duchowni, ale i świeccy pisarze na łamach prasy „ogólnej" coraz częściej uciekają się do argumentu i doktryny katolickiej. Przeglądając systematycznie prasę dzisiejszą ma się wrażenie, że długi, a paradoksalny okres, rozpoczęty gdzieś dawno przez pozytywizm, kończy się. Trzeba go nazwać paradoksalnym, bo jakże inaczej można traktować fakt, że w narodzie katolickim, w olbrzymiej większości wierzącym i praktykującym, myśli przewodnie w życiu społecznem i politycznem zdawały się ignorować te podstawy, na których naród swe pojęcia i nakazy moralne opierał. Oczywiście paradoks taki mógł powstać tylko przy obojętności religijnej, jaka ogarnęła jeżeli nie całą, to przynajmniej przeważającą część inteligencji.

Dziś się to zmienia bardzo szybko. Nawrót do religji w młodszem pokoleniu inteligencji jest oczywiście jedną z przyczyn tego zjawiska, ale jednocześnie daje się zauważyć, że anarchja naszych czasów i niebezpieczeństwa, grożące cywilizacji, sprawiają, iż nawet ludzie z pokolenia pozytywistów dostrzegają i coraz lepiej oceniają moc opoki Piotrowej. A ileż to razy w nowej literaturze, u autorów, których o religijność bynajmniej posądzić nie można, widzimy Kościół jako jedyną potęgę, zdolną do przeciwstawienia się i zwycięstwa nad zalewem moralnego barbarzyństwa. Akcja katolicka, posunięta potężnie naprzód za czasów obecnego Pontyfikatu, trafia tedy na grunt podatny.

Ks. dr. Jan Piwowarczyk jest tłumaczem i komentatorem encykliki *Quadragesimo Anno*, wydanej przez Radę Społeczną przy Prymasie Polski. W miesięczniku „Prąd" ogłasza artykuł, który niewątpliwie wywoła silne echo, jest to bowiem sformułowanie katolickiego punktu widzenia na reformę rolną.

Znajdujemy tam najpierw podkreślenie konieczności ustalenia jakiegoś ideału, jakiejś wizji lepszej przyszłości, któraby ożywiała katolickich działaczy wiejskich. Wizje takie muszą mieć, jako warunek zwycięstwa, wszystkie ruchy społeczno-polityczne.

„Nam katolikom, którzy się zajmujemy sprawami wsi w Polsce" — pisze ks. Piwowarczyk — „brak takiej wizji. Naszą uwagę pochłaniają ważne, ale drugorzędne pod tym względem sprawy teraźniejszości, jak spółdzielczość, bibljoteki, teatr ludowy i t. p. Brak nam natomiast świadomości celu, do którego ta *„Kleinarbeit"* (jak mówią Niemcy) ma zmierzać. Brak nam wizji przyszłej, lepszej, szczęśliwszej wsi polskiej. Mamy przed sobą zadanie, nie widzimy celu. Zajmują nas rzeczy drobne i szczegóły, nie ogarniamy całości."

Na podstawie encyklik *Rerum Novarum* i *Quadragesimo Anno*, stwierdzających, że dzisiejszy stan własności gospodarczej, a więc i rolnej nie odpowiada sprawiedliwości, ks. Piwowarczyk wysuwa hasło koniecznej zmiany i naprawy ustroju rolnego w Polsce:

„Dwa etyczne prawa przemawiają w Polsce za parcelacją wielkiej własności: konieczność naprawy ustroju własności przez zasypanie przepaści między garścią przebogatych ludzi, a masą biednych — i obowiązek zaopatrzenia mas biednych w środki potrzebne im do utrzymania się na poziomie, wymaganym przez godność człowieka."

Autor, podkreślając dalej kontrast, jaki istnieje między nędzą materjalną wsi, a jednoczesnym wzrostem poczucia ludzkiej i obywatelskiej godności u chłopa, kontrast, który musi doprowadzić do buntu przeciwko istniejącym dziś stosunkom, kończy:

„Boję się, by dyskusji na temat sprawy wsi w katolickim obozie nie zabiły debaty zbyteczne nad całkiem jasnemi i prostemi sprawami (metodyka pracy na wsi) lub spory „zasadnicze" o przesądzoną już według mego mniemania sprawę reformy ustroju własności rolnej, — i by skutkiem tego kapitalne zagadnienie „wizji" przyszłej wsi polskiej nie zostało odstąpione obozom niekatolickim. Gdyby się to stało, to trzebaby wówczas powiedzieć, żeśmy znowu na jedno pokolenie stracili wieś."

Nie miejsce tu, w tej rubryce na zasadnicze rozważania na temat reformy rolnej i korektur, jakie w tem dziele musi dokonać wzgląd na interes kultury narodowej, niejednokrotnie na łamach naszego pisma w związku z istnieniem dworu wiejskiego oświetlany. Tu chcieliśmy tylko zwrócić uwagę na ważne posunięcie obozu katolickiego, które, ze względu na autora, uważać można chyba za autorytatywne.

ARGUS

NA MARGINESIE

— Co to jest „planowa gospodarka?"

— Dam ci przykład. Państwo Polskie wykupuje z rąk prywatnych Polskie Radjo...

— Nu, i co?

— Czytaj w gazecie. Kapelmistrzem w Radjo był od 10 lat Ozimiński. Gdzie jest teraz Ozimiński? Na bruku. Kto jest kapelmistrzem teraz? Fitelberg. A drugi kapelmistrz? Grynberg. Kto dyrektor? Lilienfeld. A sekretarz generalny? Kreuter Kraft. *Etcaetera, etcaetera.*

— Już rozumiem! Było Polskie Radjo, teraz jest Nasze Radjo.

— Widzisz, to jest planowa gospodarka.

*

W polskich sferach muzycznych panuje pogląd, że usunięciu Józefa Oziminskiego z Polskiego Radja jest odpowiedzią, daną firmie Bliklego za usunięcie żyda z orkiestry.

*

W kawiarni:

— Czem mogę służyć? — pyta kelner.

Młodzieniec:

— H_2O — SOK.

— ?

— Oczywiście — woda z sokiem!

— Przepraszam, ale u nas niema ani jednego żyda w orkiestrze.

*

Wybór Ferdynanda Goetla na członka Polskiej Akademji Literatury wzbudził wśród poetów żydowskich, rachujących na ten zaszczyt dla jednego ze swoich, nastrój rozgoryczenia i przygnębienia. W „Ziemiańskiej Artystów", uderzając pięścią w blat stolika, znany starozakonny poeta — futurysta krzyczał zaperzony:

— A co?! Nie mówiłem wam, nie mówiłem?! Już i w literaturze, tak jak na uniwersytetach, zaczynają nas zmuszać do... s i e d z e n i a o s o b n o!...

*

Pp. Sieroszewski i Matuszewski nie chcieliby przerywać młodzieży studjów naukowych. Noszą się tedy z ideą, aby jedną z uczelni akademickich przenieść do Berezy, z przeznaczeniem jej dla młodzieży, tam przebywającej. Byłby to zarazem kurs wzorowy dla pedagogów. Uniwersytet Kartuski nosiłby nazwę szkoły im Leona Kozłowskiego.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.